

Jerzy Grupiński

Koniecznie pisz...

W roku 1970 grupa młodych pisarzy z inicjatywy niżej podpisanego założyła w poznańskim Zamku (wówczas zwanym Pałacem Kultury) Klub Literacki (w latach 1999 – 2005 współpraca Barbary Lempki – poetki i dziennikarki). Debiutowali tu spotkaniami autorskimi bądź publikacjami m. in. Grażyna Banaszekiewicz, Grzegorz Gauden, Rafał Grupiński, Marek Obarski, Mariusz Rosiak, Wincenty Różański, Norbert Skupniewicz, Tadeusz Wyra-Krzyżański, Krzysztof Magowski, Paweł Kuszczynski, Tadeusz Siejak, Tadeusz Żukowski. Z młodszych m. in. Dawid Jung (wydawca „Zeszytów Poetyckich”), Roman Bromboszcz (twórca eksperymentalnych „bromboxów”), Magdalena Gałkowska (laur konkursu Jacka Biereżina w 2009). Pierwsze spotkania współtworzyli: Andrzej Babiński, Stanisław Barańczak, Edward Balcerzan, Krzysztof Kuczkowski, Ryszard Milczewski-Bruno, Jerzy Satanowski, Edward Stachura, Jerzy Szatkowski, a także Piotr Bagiński, Marek Słomiak, Tomasz W. Rzepa, Jerzy Beniamin Zimny. Historyczna pierwsza prezentacja miała miejsce 10 czerwca 1970 roku.

Okres „bohaterski” towarzystwo klubowe przeżywało młodością chmurną i górną na początku lat siedemdziesiątych, kiedy to salę kominkową cesarskiego zamku nawiedzali natchnieni skandalistami: Ryszard Milczewski-Bruno, Maciej Ryfa, Grzegorz Walczak, Edward i Stanisław Popławscy, Marek Kośmider, Przemysław Basiński, Rom – Karol Parno-Gierliński, Andrzej Babiński oraz KMT, który podczas warsztatów literackich wskoczył na zestawione stoły i po rozłożonych rękopisach pobiegł do wyjścia... Licealistka Joanna, która opowiadała publiczności, jak to poprosiła katechetę o plemniki („na co ci dziecko to świństwo?”), bo chciała pod mikroskopem obejrzeć ludzkie zarodki. Bywała Spółdzielnia Poetycka „SKU(r)Cz” – Smuczek, Kuźniak, Czerep (+ księgowy Fluks) nosząca się po Poznaniu w czarnych melonikach z napisem „margaryna”. Zaglądali i twórcy pierwszych happeninów – Andrzej Matuszewski, Leonard Przyjemski – zawsze pełni niespodzianek. Imprezom towarzyszyła hipisowska orkiestra „Winda”, która miast perkusji taszczyła spory głąz, którym biła w cesarską posadzkę. Edward Balcerzan w tygodniku „Literatura” nazwał wówczas pałacowy klub bastionem młodych i najmłodszych. Klub po zmianie siedziby (od 205 Piątkowskie Centrum Kultury PSM „Dąbrówka”) ciągle stanowi (mamy tę nadzieję) ważny punkt na mapie Poznania i kraju. „Jesteś geniusz, koniecznie pisz...” zachęcał Andrzeja Babińskiego w listach Edward Stachura (archiwum Jerzego

Szatkowskiego). Ten cień nieformalnego patrona poznańskiego Klubu Literackiego ciągle unosi się nad rocznicą. Cudownie rozchwiany, autor natchnionych wierszy, bohater książki Andrzeja Sikorskiego „Motyl na wieży Babel”, czołowy skandalista tamtego czasu, zapisał się w pamięci nie tylko wyganianiem autorów sprzed nosa publiczności (by zająć ich miejsce), ale i sławną akcją, kiedy to na oczach widowni wyjął kwiaty z wazonu i wypił wodę. Postać poety sytuuje się w szeregu twórców, którzy tragedią życia zaświadczyli swoistą drogę „życiopisania”: Wojciech Burtowy, Ryszard Milczewski-Bruno, Marek Obarski i Andrzej Ogrodowczyk. Andrzejowi Babińskiemu poświęcono niejedno opracowanie, także film dokumentalny „Z całej siły” (Agencja „Sowa”), w którym wypowiedali się między innymi Andrzej Mendyk, Jerzy Grupiński, Norbert Skupniewicz, Jerzy Szatkowski, Andrzej Śliz, Piotr Śliwiński.



Barbara Kęcińska-Lempka przypomina mi, że w Klubie Literackim gościliśmy też grupę osadzonych z aresztu we Włocławku, którzy przyjechali z wychowawcą czytać wiersze napisane za kratami. Aktorzy więziennego teatru obdarowali nas

więzienną miską. Warto wymienić też imprezę „Anarchiści u cesarza”. Zaproszeni, w ramach happeningu, na zamkowych parkietach smażyli frytki, ku zgrozie pań sprzątaczek. Olej Kujawski obficie pryskał na cesarskie parkiety.

Indywidualne pozycje (książki, arkusze i półarkusze) wydali tu: Stanisław Piskor, Tadeusz Wyrwa-Krzyżański, Franciszek P. Bernacki, Jerzy Szatkowski, Barbara Śmietarska, Karol Parnogierliński, Marek Obarski, Marek Słomiak, Ryszard Krynicki, Ryszard Milczewski-Bruno, Tadeusz Żukowski, Jerzy E. H. Busza, Krzysztof Lis, Tomasz Fellmann, Piotr Bagiński, Jolanta Zmysłona, Michał Januszkiewicz, Jerzy Grupiński, Juliusz Wątroba, Elżbieta Piekarska-Madreiter, Anna Czerwińska, Bogdan Szutowski. W latach 1970 – 2005 wychodziły w Zamku pisma – periodyki: „Spotkania”, „W znowie”, „Wena”, „Protokół Towarzystwa”, oraz kontynuowany do dziś „Protokół Kulturalny”. Ukazały się też almanachy: Grupa literacka „Tylicz” (1970), „Trochę wierszem trochę prozą” (1984), „Almanach Klubu Literackiego” (1987), „Nie w moim imieniu” (1991), „Krag spotkań” (1995), „Arkusze 2004”, „Arka” t.1 – „Zamek poetów” i t.2 „Zamek prozaików, wypisy i pamiętki” (2005). Ostatnia pozycja uzyskała niezwykle, egzotyczne wyróżnienie – Nagrodę Roku 2005 przyznaną przez The International Poetry Translation and Research Centre – redakcję „The Journal of World Poets Quarterly” (wielojęzyczny magazyn poetycki wydawany w Hongkongu). „Arka” ku naszemu zaskoczeniu została uznana w 2005 roku najlepszym wyborem wierszy w skali międzynarodowej. Dyplom podpisał dr Zhang Zhi, prezydent Ośrodka, pisarz – pseudo „Diablo”.

Praca Klubu dała też początek węgrowskim i kościańskim warsztatom współtworzonym przez Jadwigę Czarną. Tu też utworzono Salon Artystyczny im. Jackowskich w Pobiedziskach, któremu od lat prezesuje Daromiła Wąsowska-Tomawska. Salon jest próbą kontynuacji tradycji wronczyńskiego dworu, w którym w latach międzywojnia spotykali się najwybitniejsi przedstawiciele świata nauki i sztuki.

W Klubie rodziły się też i rodzą konkursy literackie i turnieje: Konkurs Zielonych Piór, współtworzony z Łucją Danielewską Turniej Wierszy o Poznaniu i Wielkopolsce w kawiarni Literackiej, Turniej o Zieloną Wazę, Majowy Turniej Erotyków, Ogólnopolski Konkurs Wierszy o Laur Klemensa Janickiego (z nagrodą główną – rzeźbą Marioli Kalickiej) i ostatnio – Turniej Wierszy o Pierścień Dąbrówki.

Klub przeszedł w roku 2005 pod opiekę Piątkowskiego Centrum Kultury „Dąbrówka” przy Poznańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (inicjatywa wiceprezesa PSM Michała Tokłowicza). W dalszym ciągu organizuje imprezy i wydaje periodyk „Protokół Kulturalny” pod redakcją Jerzego Grupińskiego w pewnym okresie wzbogacony przez dodatek młodych twórców „Okowykol Okularny” prowadzony przez poetę, krytyka, eseistę i tłumacza Omira Sochę.

W dwudziestolecie śmierci duchowego patrona, Andrzeja Babińskiego, w 2004 roku, udał się na grób poety Marek Kośmider. „Grób był opuszczony, zaniedbany” – opowiadał. – „Poszedłem pod most nad Wartą, gdzie skoczył, posadziłem tuje. Może nie ukradną?” Junikowski cmentarz odwiedziła też zafascynowana legendą Andrzeja Bogna Hołyńska (dziś po mężu Wiczyńska), piętnastolet-

nia wówczas gimnazjalistka. Nie bez trudności, bo na Junikowie leży czterech Andrzejów Babińskich, Bogna znalazła grób w dobrym stanie, z fotografią poety. NN (więc kto?) opłacił miejsce na dziesięć lat. Pamięć, tradycja... Ale ważne przede wszystkim, by kontynuować publikacje. Miasto, które pragnie (pragnęło) być kulturalną stolicą Europy, miasto, które w 2010 roku zwołało hucznie konferencję ministrów kultury Europy i Azji, nie ma od lat (od czasu likwidacji „Arkusza” w 2003r.) pisma literackiego, jeśli pominąć periodyk młodych naukowców „Czas Kultury” oraz z przerwami wydawane przez polonistów UAM „Pro Arte” Tę lukę próbują wypełnić wydawana z emeryckiej kieszeni Jerzego Szatkowskiego „Okolica Poetów” oraz nasz „Protokół Kulturalny”.

Wracając do klubu – swe klubowe inicjacje i doświadczenia zapisali w opowieściach i wierszach Przemysław Basiński, Krzysztof Magowski, Jan Hyjek, Anna Kokot, Barbara Kęcińska-Lempka, Alicja Kubiak, Agnieszka Mąkinia, Omir Socha, Teresa Tomsia, Jerzy B. Zimny w powieści „Róża z Montreux”. Bibliografię, klubowe dzieje, anegdoty znajdzie czytelnik m. in. w almanachach „Nie w moim imieniu” (Pałac Kultury 1991), „Krag spotkań” (1995), „Arka II” (Zamek prozaików, wypisy i pamiętki, 2005) wydanych przez CK Zamek w Poznaniu. Klubowe kroniki pełne zdjęć, wpisów, dedykacji złożyłem w filii Biblioteki Raczyńskich przy ul. Wronieckiej (jak mówimy – w Domu Literatury). Tam też, jak i w gmachu głównym Biblioteki przy pl. Wolności, znajdują się egzemplarze „Protokołu Kulturalnego” i „Okowykola”. Pracę magisterską „Zarys monograficzny Klubu Literackiego Centrum Kultury Zamek w Poznaniu” napisała Karolina Mądra pod kierunkiem prof. Jerzego Świdzińskiego, UAM. Wydział Pedagogiczno-Artystyczny w Kaliszu (nr albumu 5605). Działalność naszego środowiska dokumentuje katalog wydany (dostępny też w internecie) w Bibliotece Raczyńskich, w którym szczegółowo opracowano, skomentowano zawartość tomów klubowych kronik z lat 1970 – 2015, nie pomijając zdjęć, tekstów donosów, wycinków, rękopisów wrzuconych pomiędzy kartki kroniki. Ta dokumentacja nosi tytuł „Katalog rękopisów Ośrodka Dokumentacji Wielkopolskiego Środowiska Literackiego” Tom 4: sygnatury DL/408-DL/511. Opracowały i przygotowały do druku Regina Kurewicz i Alicja Przybyszewska, Biblioteka Raczyńskich, Poznań 2016.

Tekst powyższy jest uzupełnionym wstępem do wydanego na czterdziestolecie Klubu w roku 2011 almanachu Klubu Literackiego pod tytułem „Na końcu świata albo języka” (Wydawnictwo Kontekst) zredagowanego przez Jerzego Grupińskiego oraz Jolantę i Stanisława Szwarców. Tytuł almanachu zaczerpnięto z wiersza Łucji Dudzińskiej.

Zbliżający się do swego 50-lecia (w r. 2020) Klub Literacki przygotowuje na rok 2019 wybór twórczości członków i sympatyków pt. „Daję słowo” w opracowaniu i wyborze tekstów Łucji Dudzińskiej i Jerzego Grupińskiego.

Sebastian Walczak

Wielce Zwirowany

21 II 2019 pojedziemy do niego razem. Do Antoniewa. Wiesz, gdzie to jest? – zapytał mnie Jerzy. Mniej więcej wiedziałem, koło Skoków.

Narodził się pomysł, żeby stworzyć reportaż o literackim Poznaniu lat 60/90. Pisarze nie napisali jeszcze książki o sobie i tę lukę należało jak najszybciej uzupełnić. Świadkowie mają już swoje lata, anegdoty i historie opowiedziane po wielokroć z ust do ust zmieniają wydarzenia i daty, a informacje dotychczas opublikowane w obiegu czytelnictwem są albo rozproszone, albo bardzo skąpe. Zapytałem się, czy Jerzy Szatkowski nie miałby chęci podzielić się kilkoma wspomnieniami z (nie tak dalekiej znowu) przeszłości. W tej opowieści nie mogło go zabraknąć. Poeta zgodził się, jeżeli odwiedzimy go razem. Jak tłumaczył, gościł już wiele osób, nie wszyscy okazali się godni zaufania i korzystając z ludzkiej naiwności, okradli go z wielu cennych dokumentów. Teraz stara się być bardziej ostrożny. Poza tym, w towarzystwie łątwiej będzie nam się ze sobą oswoić.

Jerzy Szatkowski to Poeta, prozaik, który przez większość swojego życia pracował jako polonista w Zakładzie Wychowawczym w Antoniewie koło Skoków. Przyjacieli i opiekun pisarzy. Wraz z żoną Iwoną przez całe życie prowadził dom, w którym wielu z nich znajdowało schronienie w trudnych chwilach. Od 1998 roku redaktor i edytor reaktywowanego kwartalnika „Okolica Poetów”, wydawanego w międzywojniu przez Stanisława Czernika w Ostrzeszowie Wielkopolskim.

Antoniewo przywitało nas dziurawą drogą. Za przereźdzonym lasem prześwitywało jezioro, a za nim bloki....

– *Te pierwsze okna na parterze, po prawej to jego.*

Zadzwoniliśmy. Za otwartymi drzwiami stała ciemność i bardzo stary mężczyzna o siwej brodzie i długich, starannie uczesanych włosach. Jakby w białej poświacie.

Nigdy nie byłem w takim domu. Kto by pomyślał, że za tymi lichymi drzwiami, które mógłby zdmuchnąć silniejszy wiatr, znajduje się prawdziwe muzeum literatury. I biblioteka. W „wypożyczalni” stały książki do użytku. W przeciwległej „czytelni” na półkach spoczywały te same tytuły z tym, że opatrzone autografami autorów, a także stopy teczek z rękopisami. Wszystko poopisywane, skatalogowane, przygotowane do wglądu. I ekspozycje. Żyłka Andrzeja Babińskiego, fajka i buty Ryszarda Milczewskiego-Bruno.

Podczas naszej rozmowy o tym ostatnim mówił najwięcej. Wspominał, jak Bruno pomieszkiwał u niego przez półtora roku właśnie tu, w Antoniewie, gdzie kończył w mękach swoją powieść „Jak już to już”. I o tym jak się poznali w 1960 roku na Bydgoskiej Wiośnie Poetyckiej. W zbiorach Pana Jerzego zachował się stos archiwalnych listów Ryszarda Milczewskiego-Bruno w części opublikowanych w trzech tomach „Poezji”, „Prozy” i „Listów”, które Szatkowski redagował wraz z Czesławem Mirosławem Szczepaniakiem. Bruno zawsze zwracał się do niego „Wielce Zwirowany”, gdyż znali się od czasów, kiedy Szatkowski mieszkał w podpoznańskich Wirach. Dużo mówił też o śmierci Bruna. *To już trzydzieści lat!* – podkreślał Pan Jerzy.

Niewiele się żegnaliśmy. Umówiliśmy się, że za tydzień, dwa, kiedy przygotuję się do rozmowy, zadzwonię i umówię się na wywiad. Obaj będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Dzień był pochmurny, nie było sensu robić zdjęć, zresztą nie wiedziałem czy gospodarz sobie tego życzy. Na odchodnym tylko, kiedy poeta żegnał się z Jerzym Grupińskim, ścisnął jego prawicę młodzieńczym gestem, objął go i powiedział. – *No, Jurek, osiemdziesiąt lat. Piękny wiek. Pięknego wieku dożyliśmy.* Migawka aparatu fotograficznego zanotowała ten uścisk, ostatnie zdjęcie Poety..

Podczas naszego czterogodzinnego spotkania Pan Jerzy nie tknął niczego, nawet szklanki wody. Zażartowałem (choć podejrzewałem, że powód był inny) mówiąc: *Panie Jerzy, pan to się chyba tylko poezją się żywi.* Odpowiedział z głębokim namysłem: *A wie Pan, chyba tak. Na pewno tak.*

Na odchodnym dostałem wielką reklamówkę z ostatnimi książkami Pana Jerzego oraz stos „Okolicy Poetów” z ostatnich lat. Cały czas chodzi za mną ten jego wiersz „Kołysanka na śmierć”...

*...może to nocą będzie czarną jak recydywa
może gwiazdisto białą jak kości słoniowej
wybrzeże albo snu kostnica – – kiedy drzewa
piszą liście do ziemi a wiatr gałąź odprawia
i na polanie dymi człekobojny wilk... i śnią
na jawie poeci okrągłego stołu – – o wpół
do ciebie... kiedy być może liczysz płodne dni
a morze przewraca się na drugą fałę [...]*



Artur Dudziński

Tołga

Brzozy stoją na matczynych nogach nad mokradłem i zaklinają, zaklinają, aby zło nie przekraczało granic monasteru. Brzozy lubią wodę, lecz do wody lgną biesy. Drzewa patrzą w stronę monasteru. Widziały, jak odradzał się z ruiny, jak trudzili się mężczyźni, kobiety, jak parowało jedzenie spożywane na stojąco i na powietrzu, jak woń kadzidła nasycala chmury. Widziały na tyle dużo, aby teraz milczeć i sztuki tej uczyć innych. Kto dziś pamięta, że drzewo jest znakomitym nauczycielem człowieka? Brzozy obserwują monasterskie krzyże i we własnym kształcie, splocie pni i gałęzi, szukają podobieństw ze znakiem chroniącym chrześcijan.

Brzózki, zgrabne i dziewczęce, noszą lnia- ne fartuchy malowane na białą z ciemnymi krowimi łatami, jak w wierszach Jesienina. Ich nogi są mocne i gotowe do kroku. Pragną porzucić przegnite trawy i, pokonując ogrodzenie, wejść do monasteru, gdzie dzieją się rzeczy niezrozumiałe dla nich i świata. Tam kobiety wyrzekają się odwiecznego porządku i, wbrew wszystkiemu, naśladują Boga i Jego świętych. Drzewka pięknieją z każdym dniem, ponieważ wchłaniają żeński powab mniszek. Uwalniają tym monasterskie siostry od ciężaru i ryzyka. W listopadzie żółtożółte liście brzóz uwodzą spojrzenia pielgrzymów, pozwalając im zapomnieć, skąd przybyli.

Monaster płynie. Widać kotwicę krzyża. Cebulaste kopuły cerkwi prują toń pomarszczonego mokradła. Mniszki jak czarne mewy, to tu, to tam. Zajęte pracą, modlitwą ust i rąk. Czasem rozkładają skrzydła i zastygają, napełniając oczy błękitem rosyjskiego bezkresu. Wargi mniszek, miarowym i bezgłośnym ruchem, szyją niewidzialne sukno modlitwy. Palce przemierzają kilometry po modlitewnych sznurach mierzone węzłami wezwań. Monaster — to długi i szeroki okręt z warowną burtą. Kierunek jest jeden: Królestwo Niebios. Wokół jest wód, co niemiara. Rzeka zamknięta prawem natury zazdrośnie zerka na monaster, który płynie w przeciwną stronę. Biesy przemykają nad wodą i w powietrzu, aby wszystko czynić daremnym. Chcą kraść życie i świętość.

Sterem okrętu jest modlitewna praktyka. *Panie, zmiłuj się, Panie, zmiłuj się*, to pierwsze ze słów, po jakie powinien sięgnąć człowiek świadomy spotkania z Bogiem — mówi mniszka Paraskiewa. — *Panie, zmiłuj się*, to także słowa ostatnie, ratunkowe koło, które warto trzymać z odwagą, gdy będzie nam dane spostrzec, że oto umieramy, że nadszedł koniec ziemskiego etapu rejsu. Słowa pierwsze i ostatnie zarazem: *Panie, zmiłuj się*, staramy się uczynić jedynymi na każdym kroku monasterskiej drogi do Słowa.

Mniszki zamykają się w słowach modlitwy jak w kajutach.

Pochód czarnych mew przez pokład. Ciągną za sobą na grubych linach wielką jak tort wesełny cerkiew z pięcioma owocami kopuł. Byłe mieć ją przy sobie. Niosą lampiony, świece, wizerunki Bogurodzicy i Ukrzyżowanego. Kielichy papierowych kwiatów nałożone na świece chronią drzenie płomyków. Wirydarze zadziwione i uczesane, po-

dobne do grzecznych dzieci próbują biec za procesją, za kobietami, które oddały kobiecość, macierzyństwo, świadomość. Oddały ciała, zostawiając sobie oddech, ptasią zwinność dłoni i światło twarzy. Oddech zaplatają ze słowami modlitwy Jezusowej w warkocze skupienia. Niewielu ludzi poza monasterem wie, o co chodzi w modlitwie Jezusowej, i dobrze, albowiem niewiedza i eksperyment z tym, co należy do sacrum, nie są bezpieczne. Dłonie mniszek piszą ikony, kroją chleby, arbuzy. Wiążą czotki, takie wschodnie różańce. W trakcie prac usta mniszek smakują wersety psalmów.

Mniszka jest kobietą bez kobiety. Ból i trud zapisał na twarzy zgniecenia i fałdy. Wiatr porywa mniszkę w czarnym worku pokory. Wróg natury ludzkiej miota teraz, przez żywioł, ciałem bez ciała i uwagą skupioną na sercu, dokąd zagłąda umysł. Zawierucha zewnętrzna ma uczynić spustoszenie wewnętrzne: rozbić i rozproszyć starania umysłu. Monaszka emanuje pięknem widzialnym, które gasi skromnością. Unika lustra, które nie jest popularne w monasterze, by ustrzec przed próżnością ciekawości i kłamstwem demonów. Czarna mewa zasłania urodę chustą. Ukrywa strach widoczny na twarzy, nocą paraliżujący oddech. W nocy ten strach szaleje w piersiach pozbawionych piersi, stara się wypchnąć na zewnątrz pijane nadzieją serce, światło twarzy gasi wodospadem łez, na czole odciska rysunek podłogi. Mróz strachu chce zamrozić serce, aby samo wypadło na potłuczenie. Z twarzy mniszki świeci światło nie z tego świata. Jej rysy napięte uwagą i godnością wyrzeczenia osoby poza płcią, która oddaje życie, by znaleźć Boga, który jest życiem, jakiego nie znamy. Połowa oblicza mniszki należy do piekła, druga — do nieba. Twarz ociosana do piekła i nieba. Ale twarz i dłonie są z nieba i dla nieba. To one służą modlitwie. Mniszce pozostały z widzialnej kobiety: twarz i dłonie. Lecz i one nie są już kobiece. Reszta należy do śmierci. Jest tak czarna, jak noc bez gwiazd, jest tłem na tle, którego twarz i dłonie przypominają pierwsze kwiaty wyrosłe na zimowej glebie. Pośladki, biodra, kibić — wszystko utonęło w czerni. „Śmierć dla prawdziwego życia w Bogu wyzwala” — zauważyła anioł w ciele niegdysiejszej kobiety. Twarze światła i ptasie dłonie na tle ruchomej czerni. Teatralne maski i fruwające ręce w spektaklu świętości? Nie. Tu się niczego nie gra. Anioł o imieniu Eutyimia mówi o czystości umysłu. W lewej ręce trzyma czotki służące do odliczania modlitw. Ma twarz dziewczynki. Jego dusza nie zestarzeje się nigdy. Rzecz o baśniowości świata, która nie jest uchwytana, bo jej istotą jest Bóg. „A kiedy temu Bogu odda się wszystko, umysł wypełni pokój, a serce ogarnie szczęście nieznanne.”

Cisza schroniła się w cerkwi. Czeka na światło śpiewu. Bóg umiłowal ciszę, którą uczynił czernią. Cisza leczy dusze w monasterach płynących pod prąd tego, co ziemskie. Śpiew mniszek — niematerialny ogień towarzyszący świecom i zapalający dusze do widzenia. Łampady kroczą karawaną bożej służby. Szecherezada musiała być piękna jak cerkiewna łampada. Roztropna mniszka dotyka lampy. Łampada parzy ażurem zdobionym kolorowymi kamieniami. Dłoń pięści dziecię orientu. Łampada pokonuje mrok ciszy. Świece odzyskują życie. Wylania się twarz najstarszej z mniszek zapatrzonej w głąb serca świata. Święci poruszają się na ikonach w rytmie płomieni. Czytanie. Szelest przewracanych kartek na analogionie. Czarne mewy przemieszczają się bez szmeru. Rodzą długo oczekiwane światło. Pierwszy głos rozbłyska pod kopułą

cerkwi, by oddać cześć Władcy. Odpowiada mu drugi — wzbija się ogniem przed oblicze Pantokratora: „Chwała Tobie, Boże nasz, chwała Tobie”. Na zewnątrz cerkiew ścieka złotem zachodu. Promień słońca próbuje dostać się do środka, przeciąć tajemnicę strzeżoną przez ikony. Świece odnajdują się w oczach mniszek. To czas Wieczerni. Głosy milkną. Mniszki czernieją ciszą. Jeśli czerń była od początku, jeszcze przed stworzeniem, to mniszki, przyoblekając się w czerń, powracają do źródła. Przez cały czas, dniem i nocą, dążą do nieprzeniknionej czerni. Ich ptasio-zwinne dłonie przysiadają na czole, piersi, prawym ramieniu i sercu. Nie myślą się. Robią to przecież tysiące razy, zakluczając dostęp do królestwa wnętrza niepożądanym gościom. Przewracają kartki modlitewników. Prostują spocone świece. Czarne ptaki wciągają powietrze. Jedna dłoń, jak rajski ptak, unosi się przed twarzami mew i rytmicznymi ruchami wyzwala z czerni anielski poblask: „Pieśń Wieczorna”.

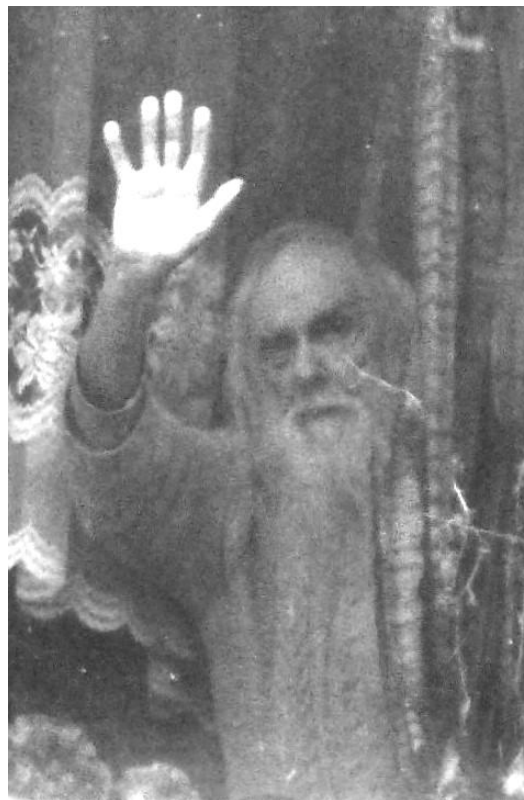
Nic nie jest po nic. Lód, który pękł przed monasterem oznacza to, co zamierzył Pan. Klucz do zrozumienia tkwi w łasce i uwadze. Mniszka nie myśli, gdy może pozwolić sobie na ten nieznaną cywilizacji luksus ojców pustyni. Porzuca myśli, obserwując byt w jego prostocie. Wsłuchuje się w niesłyszalną dla nas mowę, utrzymując skupienie w dziecięcej czystości. Od Boga zależy to, jak zresztą wszystko, czy duchowy sens objawi się świadomości odzianej w czerń pokory. Podobno wcale nie chodzi o spekulacje czy pojmovanie czegokolwiek. Podobno sens życia, istnienia, tkwi w przebywaniu, obcowaniu z bliźnim, w którym czule przygląda się nam Stwórca. Pęknięcie lodu może symbolizować wewnętrzny rozpad naszej natury i nie musi. Kamienie i żdźbła potarganej mrozem trawy. Droga, którą podążasz i naraz przeszkoda.

I oto są i królowie. Trzej. Mistrzowie pędzla poszukujący nieziemskiej prawdy. Słońce straciło gałęzie, którymi drapie trawniki. Słońce spaliło mury do bieli igloo. Ziemia jest przezroczysta: odkrywa korzenie dębów. Wszystko kołysze się i rusza. Niespokojne dłonie królów badają powierzchnie ścian, przysiadają jak motyle, oddalają się i powracają do dotyku trwałego barwą i kształtem. Niewiarygodne jest to, że Bóg, który jest poza czasem, patrzy na nas przez cały, dostępny nam czas, czego nie zauważamy. Nie wiemy również, czy On przewidział to, co zrobimy, czy też tak nas kocha, że cokolwiek uczynimy, odnajdzie tego miejsce w boskim planie miłosierdzia. Na każdym skrawku monasteru jest historia. Lekcja do odrobienia. Trzej królowie są po to, by naukę tę czynić czytelną i utrwalić dla innych. Skaczą z rusztowania na ścianę. Wczepiają się uwagą. Zapominają o głodzie jak Rublow. Słońce wysusza im farby, lecz aniołowie strzegą bożego dzieła, dzieła na chwałę bożą czynionego. Zerkają z ukrycia, tłumią podziw, a pot, który ścieka ścianami, zmieniają w werniks.

Dzwonnica. Czarne mewy przysiadły pod dzwonami. Lot ku Bogu wyczerpuje. Z wieży widać fortepian porzucony w śniegu. Ptaki wolą dzwony. Pociągając za sznury huśtają dzwonami jak dziećmi. Grają na monasterskich dzwonach, niczym perkusiści.

Największy z instrumentów czekał, aż zgromadzą się pod nim kobiety. Teraz zalewa ich ciała potokami słyszalnej łaski. Nie dają zaczerpnąć tchu. Kobiety wyciągają ręce pionowo w stronę

serca. Pragną spłynąć dźwiękiem, wsiąknąć w moc i prawdę raz na zawsze.



W imieniu społeczności, środowiska naszego Klubu Literackiego żegnam Cię Jurku, niech prowadzi Cię świetlista droga Twego Słowa i nadzieja „Non omnis moriar”, jak w Twym wierszu pod tytułem „Kołysanka na śmierć” – „...z pośmiertnej teki uleci poezja – – ta, która nie zna co to rany lizać...”

Jerzy Szatkowski, natchniony uczestnik naszych pierwszych spotkań z początku lat 1970-ych w Zamku, poeta-słowiark, czarodziej polskiej mowy, laureat pierwszych zamkowych turniejów „O Zieloną Wazę”, a potem zwycięzca ogólnopolskich konkursów literackich w dziedzinie poezji i prozy, obdarzony także talentem plastycznym. Redaktor i edytor jedyne w kraju periodyku poświęconego poezji, pod tytułem „Okolice Poetów”. Szatkowski dziś wkracza na ścieżkę, na której poprzedzili go pisarze-przyjaciele: Andrzej Babiński, Edward Stachura, Ryszard Milczewski-Bruno, Witek Różański, Marek Obarski, Andrzej Ogrodowczyk – artyści tragicznego losu i wysokiej drogi.

Do Antoniewa, do źródła „by zaczerpnąć”, do antoniewskiej krynicy podążało grono nie tylko Twych przyjaciół; także i młodzi artyści nawiedzali sanktuarium pełne pamiątek, relikwii, zostawiając swój ślad.

Żegnaj Jerzy... Zostają z nami Twe wiersze – Słowo dźwięczne, zielone, szumne, bardzo polskie Słowo słowicze.

Pożegnanie wygłoszone przez Jerzego Grupińskiego podczas pogrzebu Jerzego Szatkowskiego na cmentarzu miłostowskim 3 IV 2019.

Katarzyna Mrozik-Stefańska

pomiędzy

najciekawiej jest kiedy stajesz
na progu pomiędzy drogą
która cię tu przywiodła
a tym co za drzwiami przyszłości

pomiędzy zadaniem pytaniem
a odpowiedzią której jeszcze nie znasz

najciekawiej jest na progu
gdy ostatnie nitki snu zszywają
znaną noc z nieznanym dniem

gdy pierwsza litera otwiera a kropka
jeszcze nie zamyka
rozzczarowaniem

najciekawiej jest
pomiędzy

Bogna Wiczyńska

* * *

Nigdy nie myślałam o sobie „kaleka”
póki nie zobaczyłam drzewa
zauważyłam swój brak liści gałęzi twardej
mocnej skóry

upokorzona uciekłam
ja kaleka bez liści gałęzi skóry

Lecz spotkałam ptaka bez dzioba skrzydeł i
piór

pocieszył mnie:
choć jesteś kaleką na tobie właśnie
zbuduję gniazdo

i tak idziemy
w ramionach niosę nasze pisklęta

Stanisław Chutkowski

Po dzieciństwo

Nic się nie zmieniłeś, jesteś taki jak
dawniej...

Dzisiaj inaczej Cię postrzegam, prze-
żyłem już trochę, więc wiem. Cieszę
się, że świetnie wyglądasz i pod-
trzymujesz swój styl. Należysz do
tych, do których wracam jak do
Księgi, w której zapisane jest dawne
życie.

Tutaj od zawsze wszystko piękne, te
same kolory: błękit, niebieski i biel.

Na błękitnie nieba widać złote orna-
menty i liturgiczne symbole zaczerp-
nięte z Biblii. Są też motywy ludowe,
świadczenie miejsca w którym jesteś.
Widzę, że nadal lubisz złoty kolor,
jest go w Tobie dużo, złocisz biel
głównego ołtarza i jego święte obra-
zy.

Nad chrzcielnicą zawiesiłeś na złotym
łańcuchu białą gołębicę, jeśli dobrze
pamiętam, jest w tym samym miej-
scu, co dawniej. Masz te same ołta-
rze boczne, świętych też nie zmieni-
łeś. Matka Boska i Dzieciątko Jezus
siedzą na tym samym osiołku i wraz
z Józefem wędrują przez pustynię.
Twoje wnętrze dopełnił obraz Świę-
tego Jana Pawła II.

Uszy słyszą te same organy, tylko
głos organisty inny. Pomyśleć, że
dawno, dawno temu, grywałem na
nich po kryjomu. Zmieniłeś konfe-
sjonał, ale zostawiłeś te same kratki.
W kruchcie stoi kamienna misa ze
święconą wodą, ta sama w której
jako mały chłopiec maczałem palce,
robiąc znak Krzyża.

Stefania Pruszyńska

Szklana kukielka

sny z pajęczych sieci
pustych i głodnych
nadal boli szept
pamięci bezbronny

i ta kropla światła
nagle ostatnia
w źrenicach

szklana kukielka

Marek Słomiak

* * *

anioł ptaka ptak anioła
anielskie słowo słowa anioły
oto wiadomość
dla ciebie
ktoś tobie przesyła w myśl
tworząc obraz i dźwięk
i czujesz ten ciężar
słodkość ust i przymilność
ciała i gest twarzy ciągly
przytyk jak wyrzut lawy istnienia

ptaki anioły – i jest ich
tak wiele
że nie przeliczysz
i szukasz tego jednego
jedynego słowa - - sumienia...

Jerzy Beniamin Zimny

pomysł na samotność

Dopiero dzisiaj pojąłem w czym rzecz
i przestałem myśleć o wszystkim co błyszczący.

Twoja błyskotliwa twarz, jego szkliste oczy,
w lustrze świat, który nigdy nie trwa wiecznie.

Twoje spojrzenie z twarzy w pudrze i
błyskach,
jego zamknięte oczy na zawsze, mój świat

stojący przede mną z niczym, moje wszystko
z wierszy znika mi z oczu, już siebie nie
widzę.

Aldona Latosik

Na leśnej polanie

Lubię tę ławkę
z pozimowym liszajem.

Omijana,
jakby czekała
na słuchaczy treli
płynących poezją.

W amfiteatrze
pod chmurką
żywe latawce
wygwizdują las
na wszystkie świata strony.

Aleksander Talarkiewicz

Wiosna

Wiosna kokietuje subtelnie
promieniami boskiego uśmiechu.
Ziemia zaczyna głęboko oddychać,
pachnie odurzająco...
jak dziewczyna zbudzona ze snu.
Czaruje swoją płodnością –
żółtozielonym szczykiem traw,
barwą przebiśniegów i krokusów.
Gałęzie krzewów i drzew
pulsują sokiem życia,
pękają nabrzmiące pąki...
Cały świat jest przepojony
świergotliwą, ptasią muzyką
jakby koncertem Vivaldiego.
A my – splatamy się,
szukając w nocnej ciszy
ust.

Danuta Bartosz

Iść dalej

Odwiązać liny
wciągnąć kotwicę
opuścić przystań stagnacji

Złapać wiatr w żagle
wędrować śnić odkrywać
co jeszcze nie odkryto

Zadziwiać
czym jeszcze nie zdumiano
Zapamiętać czego nie było

Sprawdzić
dlaczego bez ciebie świat
nie jest muzyką
przecież gałęzie drzewa
tak samo szumią

Bogna Wiczyńska

Powrót autora

Twórczość literacką można traktować jako swoistą autoterapię, podczas której autor poznaje i konstruuje samego siebie, uzewnętrznia negatywne emocje czy przeżycia lub odnajduje utracony spokój. Literatura XX wieku obfituje przykłady takich właśnie twórców – dość, by wymienić tu poezję Różewicza – wątki autoterapeutyczne przenikają bowiem w oczywisty sposób jego wczesną twórczość, począwszy od debiutanckiego tomiku „Niepokój”, jak i późniejszą, zwłaszcza w tak różniącym się od pozostałych, także pod względem opracowania topograficznego, tomiku „Płaskorzeźba”, w którym poeta ukazuje samego siebie odartego z poetyckich konwencji – publikując obok ostatecznych wersji wierszy notatki i marginalia powstałe w trakcie pisania ich, zawierające różne wersje utworów, a także myśli autora, przekreślenia, sugestie – jednym słowem zapiski. Dla Edwarda Stachury z kolei pisanie było jak zapełnianie swoistej pustki i drzemiącej w nim samotności, dla Haliny Poświatowskiej – formą przepracowywania bolesnych doświadczeń, dla Mirona Białoszewskiego – w późnym okresie twórczości – sposobem radzenia sobie z chorobą. Autoterapia, wiążąc się z uzewnętrznianiem mrocznych wizji własnego „ja”, a także próbą scalania i budowania własnej tożsamości, mogła być jedną z przyczyn, dla których Andrzej Babiński w sposób tak rozpaczliwy pragnął pisać.



Jak się okazuje, dla moich rozważań ważny jest również zwrot topograficzny – wiele miejsca w tej pracy poświęcę bowiem związkom Babińskiego z przestrzenią, ujmując go jako w dużej mierze byt przestrzenny. Wraz z zainteresowaniem kategorią miejsca napotkać można w badaniach literaturoznawczych pytanie o relację przestrzeni i literatury, a co za tym idzie – również o związek przestrzeni, w której dorastał lub przebywa autor na jego twórczość – o wpływ rodzinnego domu, otoczenia, ludzi, a także o to, które ich elementy widoczne są w tekstach pisarza. Bez wątplenia jedną z ważniejszych badaczek zajmujących się tą tematyką jest Ewa Rewers, zainteresowana przede wszystkim kategorią miasta, które jak dotąd przedstawiane było w literaturze w różnorodny sposób – jako miasto-moloch, ponure, nieprzyjazne człowiekowi, odbierające jednostce możliwość samorealizacji, bycia sobą, szczęścia Rozumiane może być jako forma współczesnego labiryntu, w którym nie sposób się odnaleźć. Warto przy okazji za Michałem Głowińskim zauważyć, że żyjemy w „epoce labiryntowej”, gdyż labirynt to jedna z ważniejszych XX-wiecznych metafor¹ na określenie wzajemnych stosunków międzyludzkich, a także stosunku człowieka do samego siebie.

1.6. Syllepsis

Często wspomnianą przez badaczy zajmujących się antropologią literacką jest koncepcja podmiotowego syllepsis stworzona przez Ryszarda Nycza², stanowiąca dziś jedną z głównych kategorii opisu współczesnej podmiotowości. Jest to jeden z kilku opisanych przez badacza tropów „ja”, na które – prócz wspomnianej syllepsis – składają się trzy typy nowoczesnej podmiotowości: symbol, alegoria i ironia. Pojęcie tropu użyte tu w poszerzonym, pozaretorycznym znaczeniu ma odzwierciedlać sytuację współczesnej podmiotowości, w której – tak jak w przypadku tropu – także dochodzi do przekształceń i rozwarstwień, choćby na „ja” podmiotowe, „ja” empiryczne, „ja” transcendentalne etc., etc., a także wyrażać nieprzystawalność „ja” wypowiedzeniowego z „ja” wypowiadającym³. Dla przypomnienia wspomnieć można, że syllepsis oznacza figurę retoryczną, w której dany wyraz rozumiany jest homonimicznie, na dwa odmienne sposoby równocześnie. „Ja” sylleptyczne oznacza natomiast odmienne sposoby istnienia „Ja” w tekście.

Jak píše Nycz, funkcjonuje ono *jako równocześnie prawdziwe i jako zmyślane, jako empiryczne i jako tekstowe, jako autentyczne i jako fikcyjno-powieściowe*⁴. Z typem podmiotowości sylleptycznej najczęściej mamy do czynienia wówczas, gdy „ja” autora wkracza do tekstu literackiego. Równie częstym sygnałem „obecności” Autora w tekście jest odkrycie przed czytelnikiem procesu twórczego, jaki się dokonał podczas pisa-

¹ Por. M.Głowiński, *Mity przebrane*, Kraków 1990, s. 193.

²R. Nycz, *Tropy Ja. Koncepcje podmiotowości w literaturze polskiej ostatniego stulecia*, [w:] *Ja, Autor. Sytuacja podmiotu w polskiej literaturze współczesnej*, red. D. Śnieżko, Warszawa 1996, s. 38-57.

³ Za: *ibidem*, s. 86.

⁴ *Ibidem*, s. 50.

nia – czy to poprzez różnorakie wtręty autotematyczne, czy poprzez innego rodzaju sygnały mówiące, że bohater to ten, który właśnie pisze⁵, zastanawia się, jak ująć daną rzecz etc., odsłaniając to, co zazwyczaj zakryte i wiadome tylko Autorowi.

Trzeba pamiętać, iż syllepsis to nie tylko gra z czytelnikiem polegająca na sygnalizowaniu przez autora związków własnego „ja” z pisaniem przezeń tekstem. To trochę tak, jakby twórca nie potrafił – mówiąc metaforycznie – przeciąć pępowiny łączącej go samego i jego pisanie. Podmiotowość sylleptyczna dotyczy bowiem takich przypadków, w których literatura staje się częścią życia, co skutkuje tym, że – jak pisze Nycz we wspomnianym szkicu – dochodzi do swego rodzaju „sprzężenia zwrotnego” między twórczością a życiem. Z tego względu ten rodzaj podmiotowości określamy mianem modelu interakcyjnego, w którym „ja” rzeczywiście i „ja” literackie wzajemnie na siebie oddziałują i wymieniają własnościami⁶. Z tego wynika, że nie tylko autor wkracza do literatury, ale również literatura wkracza do jego życia, które staje się przestrzenią autokreacji, miejscem dla fikcji i tworzenia mitów o samym sobie. U niektórych twórców spotkać się można ze swego rodzaju obsesją pisania, w świetle której żyje się głównie po to, by pisać. Do takich pisarzy bez wątpienia pasują słowa, którymi Andrzej Falkiewicz opisał Stachurę: swoje przeżycia oceniał pod kątem ich przydatności do pisania⁷.

Jako twórców sylleptycznych często wymieniana jest Stachura, a także Halina Poświatowska, Rafała Wojaczka, Marka Hłaskę i Witolda Gombrowicza, w dużej mierze mając na uwadze legendę, jaka otaczała ich życie i twórczość.

Trzeba przy okazji zauważyć, że literatura to nie tylko talent i praca nad utworem, ale i swiste piętno, odciskające się często jako ciężar psychiczny, wiążące się z rykiem – pychy, autokreacji, nieszczerości, nadwrażliwości – któremu w mniejszym lub większym stopniu się ulega. Jak bowiem słusznie pisał cytowany już Falkiewicz w szkicu o Stachurze: Wybierając zaś literaturę i oryginalność, pisarz raz jeszcze wybiera Ja. Siebie-Ja, o którym właśnie mówi, że powinno szczeni⁸. Falkiewicz obnaża tymi słowami swoisty paradoks, na jaki narażeni są autorzy – zwłaszcza – sylleptyczni. Trzeba oczywiście w pewnym stopniu przyznać rację Nyczowi – w niektórych tylko przypadkach więź między twórczością i życiem jest tak silna, że prowadzić może poetę do zguby i zatracenia poczucia rzeczywistości – przede wszystkim do takich zwykło się stosować termin syllepsis.

Po tak dokładnym omówieniu kategorii podmiotu sylleptycznego, nie sposób pominąć zagadnienia życiopisania – zwłaszcza że obie te kate-

gorie noszą wspólne cechy i wydają się do siebie dość zbliżone. Pojęcie życiopisania utworzone zostało przez Henryka Berezę dla nazwania relacji łączących Edwarda Stachurę i jego pisarstwo. Pisał o nim w sposób następujący: To jest ktoś bez wątpienia we władzy słowa pisanego, to jest ktoś bez reszty opętany⁹; Stachura pisze całym sobą, wszystko w nim jest podporządkowane pisaniu, poza pisaniem Stachura w ogóle nie istnieje¹⁰; Jego pisarstwo jest tożsame z życiem, jedno z drugiego wynika, jedno jest drugim, jest to jedność, jedność nierozdzielna, jedność całkowita¹¹. Na podstawie powyższych cytatów można by wysnuć wniosek o ścisłym związku między kategorią podmiotowego syllepsis a życiopisaniem. W obu bowiem dochodzi do ścisłego związku literatury i życia, w obu przypadkach mamy też do czynienia z modelem interakcyjnym, w którym dochodzi do ciągłej wymiany wartości. Różnica polegać może na tym, iż Bereza ujmuje ten problem w kontekście czysto egzystencjalnym, bez głębszego wnikania w konsekwencje formalne, a także nie przyjmując do wiadomości, iż Stachura mógłby w swoim życiopisaniu być w jakikolwiek sposób nieautentyczny. Bereza opisuje swoistą postawę życiowo-twórczą, Nycz natomiast skupia się nie tylko na postawie, ale i na konsekwencjach wynikających z niej dla dzieła literackiego – jest nią m.in. stawianie samego siebie w centrum tekstu; zakłada też, iż podmiot sylleptyczny jest tylko w części autentyczny – w dużej mierze wynika z autokreacji. Podobnie zresztą rzecz ujmuje Winięcka w cytowanej już książce:

W literaturze nasyconej szczegółami autobiograficznymi splecionymi z fikcją podmiot, wyłaniający się jako piszące „ja”, nie jest już bezpośrednią reprezentacją autora, lecz nową jakością o dwuznacznym statusie; jest autobiograficzny i kreacyjny zarazem. Sylleptyczna sprzeczność kryjąca się w takim zestawieniu konotuje sprzeczność tkwiącą u podstaw samej literatury tego typu: jej autentyczno-fikcyjnego charakteru¹².

Z tego wynika między innymi fakt, że życiopisanie jest jedynie swego rodzaju modelem czy ideałem – niemożliwa jest bowiem autentyczna i całkowita zależność literatury i życia, absolutna szczerłość artysty, o jakich pisał Bereza. Poza tą drobną różnicą – życiopisanie i syllepsis można uznać za pojęcia zbliżone do siebie.

Tekst powyższy jest kontynuacją pracy Bogny Wiczyńskiej zamieszczonej w poprzednim numerze „Protokołu kulturalnego”

„W poszukiwaniu autentyczności bycia. Podmiot w poetyckiej twórczości Andrzeja Babińskiego”. Praca magisterska napisana pod kierunkiem prof. dra hab. Michała Januszkiewicza. Poznań 2017. UAM, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej, filologia polska.

⁵ Por. np.: *Minęło kilka dni. I piszę to zdanie nie lekkim ruchem ręki, drobnym miłym gestem, jakby się łapało wpół kota z podłogi i sadzało się go sobie na kolana. Piszę to zdanie „minęło kilka dni” z bólem wielkim, bo nie mam sił, żeby te kilka dni pięknie i straszliwie opisać, tak jak są tego godne. Nie ma po prostu sił ten, który to tutaj wyznaje.* E. Stachura, *Siekierzada*, [w:] *Powieści*, Warszawa 1982, s. 324.

⁶R. Nycz, *op.cit.*, s. 55.

⁷ S. Falkiewicz, *„Nie-Ja” Edwarda Stachury*, Wrocław 1995, s. 38.

⁸ A. Falkiewicz, *op. cit.*, s. 61.

⁹ H. Bereza, *Życiopisanie*, [w:] E. Stachura, *Fabula rasa. Z wypowiedzi rozproszonych*, Warszawa 1987, s. 446.

¹⁰ *Ibidem*, s. 445.

¹¹ *Ibidem*, s. 456.

¹² E. Winięcka, *op. cit.*, s. 41.

Anna Kokot-Nowak

Emerytura dla stróża

- Też, husaria! – zawołał Pan Żyłka i pociągnął za coś, co mu wyglądało na bieluchną koszulinę. – Złaż tu do mnie z tej wysokości i wypijmy bruderszaft. Samemu nie będę tankował do lustra, egoista nie jestem, cholera jasna! – mruknął gniewnie.

Anioł Stróż nad łysiejącą głową Pana Żyłki ani drgnął. Wisiał nieruchomo niczym samobójca na szubienicy i tylko złocisty krążek aureoli pulsował i krążył jak bransoleta na ruchliwym nadgarstku tancerki flamenco. Pan Żyłka poskrobał się w kępkę włosów nad lewym uchem: „Kiego diabła to anielisko takie niemrawe? – zafrasował się. – Tyle razy ratowało mnie z opresji, w czasie mroźnika leżeliśmy przecie policzek w policzek i ogrzewaliśmy się własnymi oddechami, wdychaliśmy odory tych samych melin i oglądaliśmy podpalenia pechowych bezdomnych. Człek miał się do kogo odezwać, ponarzekać troszeczkę, zakląć do smaku i humoru. A teraz cni się jakoś, ździebko ponuro na duszy i jakoś tak pusto nad łepetyną. Może nigdy nie liczyłem na godny pochówek i opłacone z góry miejsce na cmentarzu komunalnym, ale myślałem, że ten stróż z niebiesiech ze mną zostanie. Ech!...” - jęknął z rozczarowaniem i machnął ręką.

Od trzydziestu lat tułał się po świecie bez stałego adresu, odcięty od rodzinnych korzeni jak zbędna rakoidalna narośl. Coś tam sobie przypominał w długie, jesienne wieczory: że kiedyś była jakaś żona, była córka i synek był jakiś, ale to wszystko minęło jak ból zęba i tylko czasami szarpało tkwiącym gdzieś głęboko nerwem. Taka banalna, klasyczna historia – on pewnego zapijaczno-go dnia wyleciał z pracy jak F-16 i wylądował na twardym podłożu lotniska o nazwie „bezrobocie”. Tankował do swego samolociku w głowie coraz większe ilości paliwa z procentami – aż obraz przed oczyma zaczął rozmazywać się w psychodeliczne wzory. Kolory mieszały się jak na palecie artysty malarza, a świat wokół wirował jak wrzeczono prząśniczki. Przepił żonę, dzieci, godziny, miesiące i lata. Przepił swoją pamięć, bo nie chciał hodować w mózgu zaprzepaszczonych szans. Od tak dawna całym jego domem była ta siateczka wypchana dobytkiem, płaszcz znaleziony w poczekalni dworca kolejowego oraz cień Anioła Stróża, który tworzył nad jego ciałem prowizoryczny dach z pierza skrzydeł.

„Co prawda, wyliniał mi ostatnio kolega, piórka miejscami powypadały, porosły brzydką, zielonkawą pleśnią, ale czy to takie dziwne? Stary ja, stary on” – Pan Żyłka pokiwał filozoficznie głową i potarł w zamyśleniu długą, zmechaoną brodę. W tym momencie zauważył, że na dłoń upadła mu kleista substancja. Spłynęła w dół, kuszona nieodparcie przez ziemską grawitację, rozkokosiła się na jego zniszczonych butach, pastowanych codziennie błotem oraz kurzem. Po chwili to coś kapąło już regularnie, pozostawiając na ubraniu ślady podobne do śluzu wędrującego ślimaka. Pan Żyłka podskoczył na równe nogi, czego byśmy się raczej nie spodziewali po takim staruszkowi i poczuł się w obowiązku soczyście zakląć. Tego jednak nie będziemy

cytować. Wyobraźmy sobie jednak małego, pokurczonego z mizernoty żywota swego człowieczka, wściekle tupiącego i z obrzydzeniem ścierającego z siebie podejrzaną mazidło.

- Święty staruchu, a złaż ty mi tu zaraz! – miotał się nieźle rozeźlony, próbując dostrzec gdzieś nad sobą Anioła Stróża. – Czemu mnie nie ratujesz, łazęgo dziadowska?! Od wszelkiej flegmy zbaw nas Panie, nie tego uczyli cię w tej szkółce niedzielnej? – naraz zachichotał. – No, maleńki! Teraz to już przeginasz. Zaraz ściągnę cię w dół choćby za jaja! – zagroził, wyciągając ostrzegawczo dłoń w górę.

Szybko je jednak cofnął, bo coś wyczuł. Jakby macał zmiętą koszulę nocną, jakby poczuł kształt jakowys nieokreślony, drżący taki nieporadnie.

- Ki diabeł? – zastanowił się nieco przestraszony i ponownie wyciągnął w górę dłoń. Tym razem poczuł wyraźnie: ciało obleczone w szatę, kilka włosów na głowie, ot – jak i u niego, a jeszcze oczywiście kółko aureolą zwane. Próbował dostrzec oczyma to, co odebrał dotykiem, ale wzrok penetrował tylko doskonałą pustkę. Przesuwając swoimi zniszczonymi rękami – wymacał jeszcze usta: otwarte i zimne. To z nich kapąła ślina. Jego Anioł Stróż nie żył.

Co zrobić jednak z martwym Aniołem Stróżem? W niebiesiech nie uznają pewnie reklamacji, poza tym czy anioły mogą tak po prostu wykitować? Co zrobić z ciałem, którego nie widać, którego faktycznie nie ma, ale które psuje się nad głową jak przeterminowane mięso? Już wyobrażał sobie ten smród. Nie to, żeby był jakimś czyścioszkiem, ale własny smród już mu w zupełności wystarczał. A tu jakiś nowy się szykował do towarzystwa. „Co tu robić, jak to rozegrać?” – zastanawiał się bezradnie, drapiąc w fiolecek nosa. Nijak nie potrafił ugryźć problemu, a dalsze życie bez Anioła Stróża wydawało mu się niemożliwe.

Podumał nad tym troszeczkę dzień, podumał dwa, a gdy psujące się zwłoki anieliska wytworzyły na trzeci dzień fetor nie do wytrzymania, podjął decyzję. Pożegnał się z kompanami, dziadkami szarymi – bezdomnymi, wypił z nimi ostatnią butelczynę i położył się na torach kolejowych. Nadjechał pociąg, zrobił swoje, a lokalni dziennikarze mieli o czym pisać, by zarobić na swoje lichutkie, cieniutkie wierszówki. Anioł Stróż tymczasem wreszcie przeszedł na zasłużoną emeryturę i otrzymał angaż do chóru cherubinów. Coś tak jednak cieniutko śpiewa, ściskany za przyrodzenie przez wściekłego i oszukanego śp. Pana Żyłkę.

Sebastian Nowak

Refleksje na dzielnicy

Rośnie beton
sobie
tobie, miastu
nowoczesność przemysła
ulicą, Pestką
natura to mit
w morzu bloków
zaraz...
tu nie ma ludzi

Mariusz Jagiełło

Jesienne poranki

atakują strefę komfortu. Ich działanie
rozpoczyna się na schodach, podczas
przepychanek

z sąsiadami. Najbardziej boimy się,
wypadając na ulicę.
Jesteśmy przepelnieni mgłą. Unosi się
wszędzie,

skutecznie drażniąc poczucie równowagi.
Najczęściej
chcemy, aby ktoś podeptał buty, nogawki.
Z uśmiechem

przeprosił, chociaż w październiku nie ma
uśmiechów. Są tylko cholerne

zatkane nosy, smród spalin i ziewanie.
Półprzymknięte oczy, płaczące dzieci i ich
matki,

rozmyślające, jak je skutecznie porzucić
pod salą w przedszkolu. Zawsze zajmują
miejsce

z tyłu autobusu. Myślę wtedy, że to dobry
czas,
by napisać wiersz o śmierci i dziewczynie.

Piszę do ciebie

chociaż wiem, że nie zobaczę ile razy
przygryzłaś wargi.
Przemieszczam się bliżej. Tracę grunt,
oddech,

a prawo ciężenia jest tylko definicją pomiędzy
kartkami.
Rozbijam się na kawałki, wierząc – tak jest
łatwiej

wejść w krwiobieg, zapisać na ustach.
Pozostawić ślad,
którego nie usuniesz z ramienia czy duszy.
Teraz jestem

jedynie wersami. Piszę, by uwierzyć, że cienie
spotkają się
na jakimś dworcu, a oczekiwania nie zgasną
w spojrzeniu.

Oczy świecą. Zamknijmy je, żeby nie
wyparował kolor.

Dawniej potrafiłem

unieść wiersze, nawet złożone z pięciu słów.
Teraz jestem słabszy. Gdybym chociaż
wierzył,

że potrafię odnaleźć w nich siebie. Jestem
zbiorem
niezrealizowanych obietnic, pragnień –
a przecież też,

jak wy, przechodzę setki razy przez te same
drzwi.
Za każdym razem uboższy o kilka minut.
Panicznie

szukam wersów odcisniętych na skórze,
języku.
W oczach. Do późnej nocy rozmyślę, czy
warto.

Poniedziałek, środa, piątek. Kolejne dni
zapraszają do rozmów. Chciałbym być
gotowy.

Dzisiaj oddycham smogiem

w swoim wycinku tego miasta. Uczę się
nazywać samotność w głosach wokalistów,
których podziwiam, nie znając ich
prawdziwych
imion. Trudno zapamiętać, wyobrazić sobie,

że tamtego życia nie było. To pierwsza jesień,
kiedy chowam się przed spojrzeniami tłumu.
Inaczej
niż zwykle spoglądam na zdjęcia z minionych
lat,

z poprzednich wcieleń. Widzę na nich
bohatera,

ale i kłamcę, który nieraz opisywał sukcesy,
zmyślane historie. Wszyscy lubią karmić się
poczuciem istnienia w myślach obcych osób.
Ja staram się zapamiętać twarze. Niektóre

dodały mi zmarszczek.

MARIUSZ JAGIEŁŁO urodził się w 1977 r. Absolwent Pedagogiki w Wyższej Szkole Pedagogicznej TWP, pracownik Urzędu Patentowego RP. Publikował w „Pograniczach”, „LiTeracjach”, „Szafie”, „Open Polish Magazine”, na stronach internetowych „Odry”, „Helikopter OPT” „2Miesięcznik”. W 2014 roku zadebiutował tomem wierszy „Człowiek z brudnopisu” (Wydawnictwo Fundacja Duży Format). Piszę teksty piosenek i felietony. Od urodzenia mieszka w Warszawie. Prezentowane wiersze pochodzą z drugiego tomu „Zdania proste rozłożone” (Wydawnictwo Fundacja Duży Format, Warszawa 2019).

Kłopoty z pamięcią

Jakież ta nasza pamięć płata figle. Niby wiemy, że świat zawsze się zmieniał. Niby uczymy się o tym, a jednak przeszłość im dalsza, tym bardziej wydaje się nam stabilna. Dopiero ta przeżyta, zapamiętana, z autopsji zaczyna pędzić, a już terazniejszość po prostu galopuje na naszych zadziwionych oczach. Warto o tym pamiętać, czytając świetną dokumentalną książkę Jarosława Kapsa „Jej opowieści. Rzecz o równouprawnieniu kobiet”.

Na naszych oczach dzieją się protesty z czarnymi parasolkami, wieszakami, „wściekle feministki” wygłaszają bulwersujące niektórych opinie, a przecież kiedyś było tak miło i spokojnie, panie całowane były w rękę i puszczone przodem w drzwiach.

Książka Jarosława Kapsy pokazuje ferment w środowisku kobiecym od lat sześćdziesiątych XIX wieku, przy czym głos zabierają w niej głównie kobiety. Opór ówczesnych męskich elit uświadamia nam tylko, że tempo przemian społecznych jest czymś względnym, że uniwersyteckie aspiracje Marii Skłodowskiej, pisma Kazimierzy Bujwidowej, Stefanii Sempołowskiej, działalność Zofii Daszyńskiej były dla współczesnych nie mniejszym szokiem niż dla niektórych z nas wypowiedzi Magdaleny Środy czy Kazimierzy Szczuki.

To wielka zasługa autora, że tyle miejsca w swojej książce przeznaczył na cytaty z wystąpień kobiet. Dzięki temu wiemy dokładnie, jak wyrażane były główne postulaty podnoszone w – jak wtedy mówiono – kwesty kobiecej. Dwie są jednak zasadnicze różnice „między dawnymi i młodszymi laty”. Tamte wystąpienia docierały do znacznie mniejszego grona ludzi piśmiennych i interesujących się kwestiami społecznymi, drugą, bardzo rzucającą się w oczy różnicą, jest język. Ostry, ale kulturalny, szermujący przede wszystkim faktami, a nie emocjami.

Z sentymentem czyta się dziś teksty pisane niedzisiejszym językiem, a jednak pod pewnym względem zaskakująco nowoczesne. Otóż niełatwo było kobiecie zostać doktorką, adwokatką, redaktorką, profesorką czy filozofką, ale skoro już została, to sprawy nazywano po imieniu i żeńskie formy nazw zawodów nie budziły zastrzeżeń.

Jeśli chcemy zrozumieć tempo zachodzących przemian, poczuć upływ czasu, powinniśmy zmienić jego skalę, odejść od bezdusznych liczb. Czytelnikom tej książki proponuję skalę wydarzeń zaczerpniętą z własnej rodziny.

Przykład z mojego podwórka. W 1909 roku Kazimiera Bujwidowa wydała w Krakowie książkę „Czy kobieta powinna mieć te same prawa co mężczyzna?” W tym właśnie roku moja babka była młodą mężatką z roczną córeczką. Według informacji z książki K. Bujwidowej jej poród mogła przyjmować wykwalifikowana doktorka, bo były już takie. Ta sama doktorka mogła udzielić pomocy ofierze ulicznego wypadku, nawet wypisać akt zgonu, ale nie mogła już złożyć zeznania do policyjnego protokołu, w przeciwieństwie do swojego niepiśmiennego posługacza płci męskiej.

W tamtym czasie w Galicji nauczycielką będącą „w błogosławionym stanie” (zdaje się, że termin „ciąża” był z lekka nieprzyzwoity) mogła być

zwolniona z pracy, gdyż jej widok mógł demoralizować dzieci.

Przykłady można mnożyć, ale przecież nie na tym ma polegać omówienie tej niezwyklej książki. Roi się w niej od nazwisk dzielnych kobiet – nie tylko tych mniej lub bardziej znanych jak Stefania Sempołowska, Zofia Nałkowska, Maria Skłodowska, Zofia Daszyńska, Maria Konopnicka, ale i trochę zapomnianych.

W styczniu 1916 roku, mimo trudnej sytuacji wojennej niesprzyjającej zainteresowaniu nauką, sala i kuluary College de France były szczelnie wypełnione, bo oto pierwszy raz miała tam wykład kobieta – Maria Joteyko – doktorka i psycholożka. „College de France zostało zaszczycone przyjęciem tej polskiej uczzonej” – pisały następnego dnia paryskie gazety. Swoją drogą – stanąć na tej samej katedrze, co 70 lat wcześniej Adam Mickiewicz...

Działająca w PPS Janina Borowska właśnie kończyła w 1908 roku w Krakowie studia medyczne, gdy rozpowszechniono fałszywą informację o jej agenturalnej działalności w carskiej ochronie. Proszony o pomoc Ignacy Daszyński odmówił. W tym samym czasie pomówionego podobnie Stanisława Brzozowskiego bronili Żeromski i Gorki.

Marię Dulębiankę znamy przede wszystkim jako przyjaciółkę Marii Konopnickiej. Tymczasem była to nie tylko utalentowana malarka, uczennica Jana Matejki i niezła skrzypaczka, ale także od 1907 działaczka społeczna. Kandydowała do sejmu galicyjskiego, w niepodległej Polsce została wybrana Przewodniczącą Zarządu Naczelnego Ligi Kobiet. Organizowała pomoc biednym i dzieciom z ulicy. Zaangażowana w obronę Lwowa, po ustaniu walk wyruszyła z pomocą polskim jeńcom na terenach zajętych przez wojsko ukraińskie. Tam zaraziła się tyfusem, pochowana obok Marii Konopnickiej, później przeniesiona uroczystie na Cmentarz Orłąt.

Dwanaście rozdziałów skrupulatnie omawia poszczególne aspekty pozycji kobiety we wspomnianym okresie.

A to Kodeks Napoleona, który z niewielkimi zmianami obowiązywał przez ponad sto lat i trzymał kobietę pod nieograniczoną niemal władzą męża.

A to wspomniane już wcześniej problemy ze zdobywaniem wykształcenia.

A to sytuację kobiety pracującej, gdzie z podanych danych statystycznych Królestwa Polskiego z roku 1913 możemy się dowiedzieć, że zajęcia i zawody były nierównomiernie obsadzone i to wcale nie z powodów oczywistych predyspozycji fizycznych. Wśród inżynierów i techników nie ma ani jednej kobiety, w urzędach stosunek mężczyzn do kobiet wynosił 9403 do 46. Przewagę kobiet odnotowano tylko wśród służby domowej, w pralniach i domach publicznych.

Znamienne są tytuły ostatnich rozdziałów – „Przed świtem” i „Damy wkroczyły na scenę”. To ostatnie lata przed I wojną światową, lata wojny i pierwsze lata Niepodległej. Stanowią piękne świadectwo udziału pań nie tylko w organizowaniu opieki nad rannymi, chorymi i poszkodowanymi w wyniku działań wojennych. Także coraz szerszego udziału w życiu politycznym.

Ta książka przywraca naszej pamięci proporcje w pojmowaniu przemian społecznych.

Jarosław Kapsa, „Jej opowieści. Rzecz o równouprawnieniu kobiet”, wyd. Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018.

Jolanta Szwarc

Pomysły wracają po wiekach

Piętnastego października 728 roku naszej ery zmarł Hasan al-Basri, którego wiersz wziął za motto do swojego tomiku „Крпка зсередини” (Lwów 2000) ukraiński pisarz Wasyl Słapczuk. Bohdan Zadura za namową Wojciecha Pestki przetłumaczył te wiersze i tak w 2018 r. ukazała się po polsku „Kropka w środku”.

Zacznę od początku. *Zapytałem dziecko ze świeczką: / „Skąd to światło?” / Dziecko zdmuchnęło świeczkę i odpowiedziało: / „Powiedz mi, gdzie znikło światło, a ja ci powiem, skąd się pojawiło.”*

Ten pomysł na wiersz Hasana al-Basri po raz wtóry urodził się na Ukrainie. Przeczytajcie.

- Co ty całymi dniami / robisz w burzanach? / - pytam chłopca. / - Chowam się przed rybą. / - Nie ma żadnej ryby. / - Ale przecież w każdej chwili / możemy ją wymyślić.

No właśnie, każdy z nas może wymyślić inną „rybę” i chować się przed nią. Dobrze, że na końcu dorosły nie zaprzeczył. Przecież nikt nie wie, co drugi człowiek, tym bardziej dziecko, może sobie uroić, bo czy znamy wszystkie barwy odczuć?

Ja też nie wiem, czy wszystkie wiersze Słapczuka zrozumiałam i czy kropkę postawiłam we właściwym miejscu. Może skończyłam myślenie w środku zdania, sądząc, że wyczerpałam wodę ze studni i wydawało mi się, że ugasiłam pragnienie wiedzy. A tu kropka w środku. Kto będzie o tym wiedział? Każdy ma prawo uzupełnić, uporządkować znaczenie i przesunąć kropkę.

Od dłuższego czasu myślę o tych wierszach, intryguje mnie dialog mężczyzny z chłopcem. Kim są? Może w tekstach ujawnia się po prostu autor, który obserwuje i rozumie zachowanie swoich synów, a oni, żyjąc obok, też podpatrują. Jeśli przywołamy „ja” autorskie, postać Wasyla Słapczuka, jego biografię, to wiersze bez tytułu staną się wiarygodnymi zapisami przemyśleń weterana wojny w Afganistanie i jego syna. *- Czemu nigdy / nie bawisz się w wojnę? / - A czemu ty mnie / nigdy o niej / nie opowiadasz?*

Równie przekornie pytam, dlaczego Wasyl Słapczuk nie opowiada synowi o inwazji ZSRR na Afganistan. Na tej wojnie najpierw był lekko kontuzjowany a dwa tygodnie później ciężko ranny. Mimo że porusza się na wózku inwalidzkim, osiągnął w życiu wiele. Jak wiemy z opowiadań o II wojnie światowej, przeciętny człowiek może stać się łajdakiem albo jednostką szlachetną. Autor miał zaledwie dziewiętnaście lat, gdy został ranny. Teraz po latach stara się poznać, co na ten temat myśli jego dziecko. Chłopiec mówi dalej, ot tak przed siebie: *- Zatrzymał się żołnierz / przed lustrem - / żołnierza w nim zobaczył. / Nie miał kiedy myśleć - / wystrzelił. / Kto żołnierzowi coś zarzuci, / skoro on jest obrońcą, / a winny ten / co w lustrze.*

Przecież wiemy, że gdy stanimy w mundurze przed lustrem, to zobaczymy siebie, ale nauczono nas szybkiej reakcji, jeśli nie strzelimy pierwsi, to ten drugi nas zabije. Strzelamy. Jest wojna i tak trzeba. Niestety, ranimy boleśnie też siebie, a te rany nigdy się nie zablizniają. Ciągłe będzie na nas patrzył ten z lustra. Choćby żołnierz nagi się goił, to tamten w lustrze będzie stał

w mundurze przygotowany do strzału. Co z tego, że ma zamydloną twarz. Wszystko co wydawało się jasne, z perspektywy czasu ciemnieje.

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 69/2018

Dialog między ojcem i synem jest chyba najlepszą formą porozumiewania się dwóch pokoleń. Obie strony odnoszą korzyści, jeśli potrafią się słuchać. Jestem zachwycona wierszami Słapczuka i ich „spolszczeniem” przez Bohdana Zadurę. Nie wiem, jak one brzmią po ukraińsku, ale po polsku znakomicie. Dlatego nie będę już więcej pisać, za to przytoczę wiersze i spostrzeżenia tłumacza.

Wiersze z bólu
się rodzą.
Chłopiec nie wierzy.
- Gdyby palce jednej ręki
przytrzasnąć ci drzwiami,
potrafiłbyś drugą
wiersze pisać? -
Nigdy nie wiesz,
czy żartuje,
czy na poważnie mówi.

Wyruszamy z chłopcem
na polowanie na motyla
niewidzialnego.
- Nielatwo namalować
motyla,
kiedy go nie widzisz,
nawet jeśli już go schwytałeś -
mówi chłopiec i zamyka oczy. -
Taka ona jest, poezja.

Wiosenne strumyki.
Chłopiec papierowe
stateczki puszcza.
- Po co drzeć książki? -
napominam.
- A inaczej kto by wiedział,
że ty piszesz wiersze?

„One są jak on, on jest jak one. Mądre, subtelne, ironiczne, życzliwe, sarkastyczne, filozoficzne, wchodzące w interakcje ze współczesnością, uniwersalne i ukraińskie, zdystansowane. O wojnie, o sztuce. Narracyjne i aforystyczne. Czasem przypominające chińskie czy japońskie malarstwo, czasem chwytające codzienność w satyrycznym skrócie. (...) W „Kropce w środku” mężczyzna rozmawia z chłopcem. Kto tu kogo uczy? Kto tu jest mędrce? Dorosły czy dziecko? Dziecko w dorosłym?”

Wasyl Słapczuk, „kropka w środku”, wyd. Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018, przekład i posłowie Bohdan Zadura.

Wasyl Słapczuk, (ur. 1961, Nowyj Zborysziw) – ukraiński poeta, prozaik, krytyk literacki. Laureat Nagrody Państwowej im. Tarasa Szewczenki (2004). Służbę wojskową odbywał w Afganistanie, gdzie został ciężko ranny. W 1993 r. ukończył filologię ukraińską Łuckiego Instytutu Pedagogicznego, w 2011 r. obronił pracę doktorską. W Polsce ukazały się powieści „Kobieta ze śniegu” w tłumaczeniu Iwony Wasilewskiej i Wojciecha Pestki i „Księga zapomnienia” w tłumaczeniu Wojciecha Pestki.

Józef Zdunek

* * *

wyobcowany z ziemskiej przestrzeni
bez poczucia czasu trwania
jakby mnie tu wcale nie było
bez kontaktu z żywymi
patrzę w przestworza
oczarowany
kosmosem

w wiosenny ciepły wieczór
moje myśli daleko
w nieznaną przestrzeń lecą
kogoś szukam wytrwale
ale znaleźć nie umiem
choć wiem
że jest

Krzysztof Galas

Konfesjonał masażysty

Kozetka przykryta prześcieradłem
spowiedź odbywa się na leżąco
nie widzę twarzy

Między dotykiem a słuchem
spowiedź pacjenta

Wtrącam pojedyncze zdania
rozluźniam mięśnie
nastawiam kręgosłup

Słowa spowiadającego się
niczym rzeczny namuł
pokrywają moje wnętrze

Nie udzielam rad, przestróg
ani rozgrzeszenia

Obciążony nadmiarem cudzych zwierzeń
oczekuję dla siebie
wsparcia

Zygmunt Dekiert

Grzech

Z ciszy ogrodu
świergotem ptaków nasyconej
przepadam w tumultie miasta
Dzień
warkotem aut opętany
Noc
natarczywą iluminacją świateł
przez zasłonę zmęczonych powiek
Na przystankach autobusów tramwajów
czekam na światła nadziei
Pulsem miasta porażony
nie widzę rajskiego drzewa
Nagość Ewy
upałem wyzwolona

Dziura w plastikowej torbie
Jabłko po asfalcie

Szymon Kantorski

Arka

rubież,
narożnik bolka, czarnucha
kolejny deweloper nazywa się noe,
może neo.

schodzą się koty, psy, lisy i ludzie
na ten kolejny z końców świata

kilkanaście powodów, dla których warto
biegać
kilka tych, dla których nie warto nawet siadać
przed ekranem, przed falą która nadejdzie

rachunki sumienia, być może,
na pewno śmieci, prąd, gaz,
woda

Szymon Kantorski, rocznik '69, mieszka w Poznaniu. Poeta, współzałożyciel pisma „Już Jest Jutro”. Autor tomików „Solo”, Biblioteka „Nowego Nurtu” oraz „Duety” - WBPiCAK. Wiersze publikował w kilku antologiach, m.in. „Macie swoich poetów”, „Antologia nowej poezji polskiej. 1990-1999”, „Przewodnik po zaminowanym terenie”. Miłośnik jazzu, niekiedy dziennikarz, zdawkowo krytyk.

Barbara Kęcińska – Lempka

Zapiski książkowego mola

Patrzemy wstecz i próbujemy zrozumieć

*Ciężko wyznać:
na taką miłość nas skazali
taką przebodli nas ojczyzną
(Zbigniew Herbert)*

W roku 1985 roku w podziemnym wydawnictwie ukazały się wiersze Stefana Pastuszewskiego, uwięzionego działacza „Solidarności”. Po latach ten sam wydawca w tomie „Powroty” przypomina dawne teksty poety, dodając utwory późniejsze i te które nie weszły do pierwszego zbioru. „...w tym opracowaniu – pisze wydawca Rafael Budzbon – mamy do czynienia z poetycką panoramą prawie całego okresu PRL, po czasy okrągłego stołu i czerwcowych wyborów z roku 1989. Całość dopełnia tekst z pierwszych lat dziewięćdziesiątych, będący pointą i łyżką dziegciu w skomplikowanej historii pokolenia, dojrzewającego w głębokim rozdarcu pomiędzy pierwszymi miłościami i twórczymi poszukiwaniami, a społecznym zaangażowaniem i walką o lepszą przyszłość, która wówczas niestety nie nadeszła. Teraz, pracując nad tą książką, patrzemy wstecz i próbujemy zrozumieć”.

Wiersze Stefana Pastuszewskiego, choć wyciszone i dalekie od „bogoojczyźnianej” retoryki, wzbudzają emocje, szczególnie silne u ludzi, którzy pamiętają tamten czas... Jestem z tego samego pokolenia co autor – lektura sprawiła, że powróciły do mnie dawne chwile – wigilia, pierwsza w stanie wojennym – śnieg, strach, poczucie beznadziei i tłumiony gniew.

Wiersz dedykowany „Tym którzy przysłali mi buty” uświadamia jak cennym dobrem były wtedy zwykłe buty – można je było kupić wyłącznie na talon z napisem „obuwie całoroczne” (talon przysługiwał raz na rok).

...nie tylko nogi mi chronią / ale duszę / przed niewiarą w życie / buty – skrzydła... / buty o pół numeru za duże(...) / proste buty podane gestem / na dzień dobry / mocne kroki światowej rewolty / w Bogu.

Trudno omawiać wiersze Stefana Pastuszewskiego bez popadania w banał lub egzaltację – poeta szczęśliwie ich unika, pisząc o miłości do Ojczyzny („Pieśń o Ojczyźnie”) – wiersz ten był powielany i popularny w stanie wojennym. Autor wspomina pierwsze zetknięcie z polskim dramatem w Czerwcu 1956 roku na dworcu w Poznaniu („Matka kazała mi spać”). To właśnie te przeżycia, wiara w słowo i świadomość obowiązków poety skłoniły autora „Powrotów” do buntu i opowiedzenia się po stronie Solidarności.

...Poeta musi przecież mówić / są ludzie buntu / ich krzyk kruszy kunsztowną skrzętność porcelany / podpala papier spokoju za ścianą / poeta jest buntownikiem... („U nasady rzeki”)

tak korci mnie / jak miłość pociąga / bestii w oczy / prosto spoglądając / kredą na murze wypisywać prawdę / podłe nazywać podłym... („Jesienny klucz”)

W podsumowaniu tamtych lat nie brak gorczycy i prób diagnozowania, dlatego rewolucja nie przyniosła oczekiwanych skutków (gorzki wiersz „Poniewczas” i diagnoza). *Dopiero dziś wiem / że nie wolno było przestać wierzyć w Mickiewicza / i trzeba było uparcie kuć / miecz Leopolda / snu o potęgde.*

Na szczęście gorczyca nie zatrąla serca buntownika. Receptą na pogodzenie ze światem są przyroda i Bóg. Wiersze z ostatniej części tomu mają mistyczny wymiar, przynoszą piękno i ukojenie.

Starannie wydana książka zawiera zdjęcia z tamtych lat. Moją uwagę zwróciła okładka symbolicznie nawiązująca do treści zbioru wierszy. Na pierwszej stronie ściśnięte litery tytułu na ciemnym tle muru i wąskie pasmo światła. Na ostatniej stronie obwoluty światło spycha ciemność do wąskiego pasa, a na świetlistym tle wydrukowano wiersz „Cisza o zachodzie”, zamykający tom poezji: *cisza / koniec mowy / i krew w obrocie swoim / poszum gwiazd / na pamięć / spoza granic // modlę się w zachwyceniu / modlę się czekaniem / bo cały w tym człowiek*

Wracając z centrum miasta często przejeżdżam pod kolejowym wiaduktem. Na filarze od miesiący przyciąga wzrok duży napis BÓG CIEBIE WIDZI I KOCHA. Usiłuję wyobrazić sobie człowieka, który przy pomocy farby uwiecznił te słowa. Może, tak jak poeta „bestii w oczy spoglądając” wypisywał kiedyś kredą polityczne hasła piętnujące podłość. Potem zostawił gniew i zwrócił się do Boga. Przekaz na murze jest prosty, mniej subtelny niż poezja, ale mijając napis ... zawsze myślę o wierszach Stefana Pastuszewskiego.

Stefan Pastuszewski „Powroty”, Bydgoszcz 2018, wydanie II rozszerzone i poprawione. Wybór, opracowanie i redakcja Rafael Budzbon i Marek S. Podborski. Wydawnictwo JAMAart.

Paweł Kuszczynski

O sośnie w Stawisku

Przy tej sośnie nie wypada pytać o Jarosława – była jego siostrą dobraną do siebie. Trzeba się przy niej zatrzymać, to już nie parasol – baldachim nad głową, naznaczony pamięcią i trwaniem. Tutaj wiesz od razu: życie pozostaje jedyną miłością i to odwieczne pytanie: czym je wypełnić. Przychodzi ten czas, kiedy zapach chleba nie ma nic wspólnego z głodem . Niczego nie ukradłem, podziw zabrałem z sobą Urania – pinus maestria – szeptałem.

Jacek Juszczak

Poezja: troskliwa myśl

Tytuł tomu „Wiersze wybrane 1968-2018”, zawierającego 52 utwory Marka Słomiaka już z samego założenia wymaga komentarza. Autor obchodził niedawno 50-lecie swej aktywności poetyckiej i okołopoetyckiej, co jest okazją - po raz kolejny - do złożenia Mu najserdeczniejszych życzeń zachowania życiowej, natchnionej werwy i wierności (o to jestem całkowicie spokojny) swemu literackiemu powołaniu. Tak więc, *wybrane* oznacza po prostu, *subiektywnie* wyselekcjonowane, niejako przez poetę wskazane czytelnikowi, co uważam, ja autor, Marek Słomiak, za najbardziej dla mnie ważne w przekazie kierowanym do Ciebie, mniej lub bardziej uważny, potencjalny odbiorco.

Wybrane z zasobów przed ukazaniem się tego tomu już dostępnego (część zatytułowana „Wiersze publikowane w 'Okolicy Poetów'. Lata 1998-2018”) i z archiwum własnej twórczości teraz częściowo otwartego na spojrzenie spodziewanych i anonimowych odbiorców. Do tych pierwszych należy autor posłowania zatytułowanego „TROPIĄC SIEBIE albo półwiecze lirycznych - zdziewień”, Tadeusz Żukowski. Stwierdza on niejako w syntezie swych odczuć po lekturze zbioru, że „demiurg (daimonion?) Marka Słomiaka gra - poprzez te utwory, raz epickie, innym razem bardziej liryczne - dwoma licami tego samego lustra; raz - jasnym, innym razem - ciemnym.” Na potwierdzenie swojej hipotezy krytyczno-literackiej znany poeta i przyjaciel Marka, przytacza wiersz zatytułowany „nocą”, kończący się wersami: „Lepiej więc niech / dojrzewa w tobie coraz mniej / osiągalny sen o radości”.

Idąc tym tropem, rozpoznajemy emocjonalną wahlność przekazu poetyckiego autora omawianego tomu, przekazywaną na pograniczu sytuacji nieosiągalnej w rzeczywistości. To wyżej cytowane sformułowanie jest dowodem subtelnej sztuki formułowania sprzeczności: coś, co dojrzewa, tego nie może być mniej, lecz jest wręcz „w nadmiarze”, jak nabrzmiały owoc brzoskwini na ugiętej gałęzi; a że rzecz rozgrywa się we śnie, nie dającym się przecież programować, wątpliwość co do możliwości uzyskania stanu radości - staje się rzeczywiście rdzeniem, „pestką” w otocze mięszu; skoro to wiersz - więc umowny i metaforyczny „miąsz” to pewnie słowa. A te zawsze są na początku (na prapoczątku nawet w wystarczającej formie liczby pojedynczej).

Utwory zawarte w subiektywnym wyborze autorskim należy traktować jako swego rodzaju *auto-da-fé*. Skoro ma to być synteza, przyjrzyjmy się jej osnowom i wątkom.

W tej tkaninie czerwonym duktem wyróżniają się relacje Ja-Ty w bardzo buberowskim znaczeniu, skomentowane konstatacją: *a drogi do Ciebie coraz trudniejsze*. Poezja jest dla Marka Słomiaka zakorzenieniem obrazów na pograniczu rzeczywistości i nie-jawy: *a ty poezję wynosisz ze snu / białym głosem słowa. A słowa urosły / do rozmiarów skrzydeł anielskiej cierpliwości*. Sen i jawa, splecione w węzeł tkaniny wiersza: *skoro ... zatraciłeś się w beztroskim mirażu chwili // ... wejdź w sen o sobie...* Wtedy zrozumiesz moje przesłanie: *Sło-*

wo ci daję / jesteśmy tylko cichym szmerem // zatwardziałego istnienia. Moja krótka nota o poezji Marka Słomiaka nie może rozwinąć w pełni jego wizji, co uważa za cel swojej twórczości; jest to zresztą teza nieuprawniona (brak miejsca na rozwinięcie).

Poeta pyta: *co dalej ... dalej już tylko // nieskończoność myśli troskliwej*.

Marek Słomiak, „Wiersze wybrane 1968 - 2018”, Wydawnictwo Atena. Poznań 2018.

Danuta Ewa Dachtera

Modlitwa wierszem

Wiersze Anny Landzwójczak zamieszczone w tomie *BEZSZELESTNIE* przyjmują formę prostą. Jest to zgodne z intencją autorki wypowiedzianą następująco: *wyfruną otrzepać skrzydła / z nadmiaru metafor*.

Poetka wskazuje co ważne w jej wierszach słowami: *przycupnęły / krzyżkami jaskótek / rozmodlone pod okapem dachu*. Modlitwie wierszy pod okapem dachu towarzyszy zachwyt nad światem: *uszczknąć dla siebie kęs / słonecznego popołudnia / w zmęczeniu znaleźć miejsce / dla zachwytu*. Jest to zachwyt nad pięknem przyrody, połączony z potrzebą aktywnej pośród niej obecności: *... jestem tu / a wielka iza jeziora trwa / w zachwycie oraz marzenie, a może prośba skierowana do Stwórcy o „dotknięcie cudów” świata przyrody: po łuku tęczy przejść / na tamtą stronę / zebrać po drodze / siedem kolorów // dotknąć / siedmiu cudów*.

Poezja Anny Landzwójczak to, „skondensowane opowieści” przepełnione emocjami. Czyta się je lepiej niż niejedną opowieść, bowiem: *po deszczu słów / kałuże zdań / rozchłapane / po twarzy*. Po krótkich wierszach autorki „*Bezszelstnie*” często pozostaje ogrom emocji i nie mniej emocjonalna puenta - na przykład: *wreszcie pękły drzwi / bombardowane / raz za razem // dlaczego nie wchodzę / ... / drzazgi spod paznokci / wydłubuję*.

Znakiem szczególnym tych pozornie prostych wierszy jest ukryte znaczenie, połączone z niedopowiedzeniem i tajemnicą jak w poniższym wierszu: *wrzuciłeś na moje plecy / przejściowe odzienie /.../ nie dałeś nawet czapki / by osłoniła głowę / przed nieprzychylnym wiatrem*. A może losem? Alegorycznemu przedstawieniu sytuacji bohaterki wiersza towarzyszy skarga, prawdopodobnie skierowana do istoty najwyższej i znów modlitwa - rozumiana jako rozmowa z Bogiem.

Te poetyckie miniatury, skłaniają do zastanowienia się nad losem podmiotu lirycznego, przenoszą nas w świat jego doznań bolesnych, głęboko ukrytych gdyż: *sznurowadło milczenia / związało wargi*. Pozwalają nam empatycznie odczuć bardziej, niż racjonalnie poznać świat bohaterki tomu „*Bezszelstnie*”. Jest to świat bogaty doznaniem z osobą w bliskim związku. Poetka pisze: *o miłości nie mów / bo usłyszą i natychmiast / ... // odmieniać ją będą przez przypadki / pospolite*. Świat bliskiego związku przedstawiony wierszami Anny Landzwójczak jest bogaty i autentyczny, a ukazany niepospolicie. Bo przecież mimo że: „jednakowi” *//...// dlaczego / mówimy różnym*

głosem i dalej: często osobni / rozdzieleni różnicą zdań / a przecież/ połączeni różnicą płci /...// mimo to / chociaż może dlatego / wciąż mocno się / trzymamy // za ręce. Tom „Bezszelestnie” daje wiele możliwości wyboru „naszego” wiersza. Mój wybór: być może po to / żył napiętych harfę / raz po raz trącasz / mimowolnym słowem / by jęk rozdarty / który noszę w sobie / wybrzmiał do końca. Wiersz „lubie być” zwiastuje nadzieję na spokojne ludzkie szczęście wyrażoną słowami: lubie być // ... / szczuplejący kalendarz / podpierać nadzieją // lubie być. Wiersz ostatni „akceptacja” niesie przesłanie, aby przyjąć rzeczywistość taką, jaką ona jest: ... otwarte wrota imaginacji / zamyka gwałtowny przeciąg // zatrząskuje / nabrzmiałe pragnieniem wargi.

Modlitwa wierszem... Podmiot liryczny prosi w niej Boga: nie / dobiec sił ostatkiem /.../ lecz spokojnie / z godnością dotrzeć / pozwól Panie. Nie używa on słów wielkich i zbyt wymagających / aby je osiąść / i zbyt cennych / by wycierać nimi wargi. Nie troszczy się także o swój udział w spektaklach marnych. I tu zgoda – nie warto. Lecz gdy pisze się takie wiersze jak ten: bezszelestnie / zejść ze sceny /...// zużytą maską nakryć / zdumioną twarz, ich autorce należy się co najmniej jedna z głównych ról.

Anna Landzwojczak, „Bezszelestnie”, Wydawnictwo TAWA Taurogiński Waldemar, Chełm/Poznań 2018.

Rafał T. Czachorowski

Spotkanie po latach

Niziutkie i siwe
zmęczone wystawą
usiadły jak mewy
na schodach biblioteki
ich półszepty w holu
falą podniecenia odbijają się
na twarzach jakby ktoś
znowu zarzucił wianki
na starcze skronie

Krystyna Mikołajewska

* * *

Dzieckiem będąc wśród
łąk i pól wzrastałam
szafiry modraków
ze złotych łąnów zbóż
na lemoniadę zbierałam
szmaragdem miedź zboża
podzielone pachniały chlebem
wieczór gasił śmiech beztroski
zapalając księżyc nad wioską
goniąc szczęście na bruk ulic
betonu placów spaliny miasta
zamieniłam łąk zapach
a marzenia dobijają się ciągle
by powrócić znowu do łąk

Agnieszka Mąkinia

* * *

Nie milknij
od słów
zaczął się nurt
wodospad w mózgu
próg dalej
rwij pierwszeństwem
dotknięciem słońca
w poznawanie
bez ograniczeń
Twoje piękno

we mnie

Tadeusz Zawadowski

Opuszczone perony

pamięci Edka Popławskiego

siedzę w pociągu linii coraz bardziej
pospiesznej. za oknem
ucieka dzieciństwo i młodość. na najbliższym
peronie
czekają już młodzi zbuntowani poeci którzy
jeszcze wierzą
że zdołają przewrócić świat na nice. bawią się
słowami jak małe dzieci ołowianymi
żołnierzycami.
kilka dni temu na nieznannej stacji wysiadł
mój przyjaciel
z plecakiem pełnym nienapisanych tomików.
patrzyłem
jak jego cień stopniowo zacierał się na
peronie.
chciałem pobiec za nim ale w ostatniej chwili
ktoś mnie zatrzymał. powiedział

że moja stacja jest następną.

Krystyna Wojciech-Ratajczak

* * *

Biało dookoła
jedno jest pewne
wiosna z pędzlem
w dłoni

* * *

Chmury
nabrzmiałe
wodą
łez krople
słońce
między przemyka

Sny na jawie – I

Często zastanawiałem się nad moim pochodzeniem: kim jestem? - Litwinem, Rusinem, Kozakiem, bo ziemie te zahaczały o zachodnią Ukrainę, czy Polakiem być może w jakimś procencie skolięganym nawet przez rodzinę matki z Tatarami Krymskimi osiedlonymi na ziemiach pobliskiej wsi Kornica (albo Koronica vel Koronycia), które leżały w granicach Korony Polskiej - przez króla Jana Kazimierza - nadanych na tamtych terenach Tatarom w nagrodę za pomoc w wojnie ze Szwedami. Językiem używanym powszechnie był chachłacki (*mieszanina języków polskiego, białoruskiego i ukraińskiego używana na nadbużańskich terenach Południowego Podlasia*). Moimi rodzicami byli Tomasz i Helena Romaniuk z domu Typa, pochodząca właśnie z Kornicy. Mnie nadano imię Stanisław, Tomasz. Pierwsze po dziadku Stanisławie, który zginął tragicznie, przejechany przez własny wóz żelazny, gdy nie mógł opanować spłoszonych koni i wpadł pod koła. Drugie po ojcu, które zgodnie z tradycją dziedziczył syn pierworodny. Rodzice, z dziada pradziada, uważali siebie za Polaków i ja także czuję się obywatelem polskim, a małą ojczyzną (w rozumieniu „kraj Ojców”) jest Południowe Podlasie. Ziemie, na których leży moja rodzinna wieś były zamieszkiwane już w okresie mezolitu to jest od VIII do IV tysiąclecia przed Chrystusem i w późniejszych tysiącleciach, co potwierdzają badania archeologiczne, ślady osadnictwa, między innymi, Gotów. Zatem?... Urodziłem się na ziemi starożytnej Lechii - (*ktos być może powie, że mijam się z prawdą, bo archeologia i badania historyczne twierdzą coś innego, po przeczytaniu jednak „Zakazanej archeologii” i pięknie napisanej książki „Słowiańscy Królowie Lechii” moja wiara w prawdy historyczne uległa dużej zmianie. Wszelkich sceptyków odsyłam i zachęcam do lektury*) - na pięknym Podlasiu, we wsi Bukowice (*o której pierwsze wzmianki pojawiają się w archiwaliach Akt Dawnych już w XII wieku ery nowożytnej*) leżącej, w czasach bliższej nam historii, na granicy polsko-litewskiej nad rzeką Walin, płynącą niegdyś na obrzeżach puszczy bukowej, gdzie podczas „Potopu” Szwedzkiego, pod wsią Walim znajdował się obóz armii szwedzkiej idącej na odsiecz Radziwiłłom. A wcześniej podobno sam Bolesław Chrobry, będąc przejazdem do braci Rusinów polował na żubry. Jeszcze w I połowie XVI wieku kiedy majątność Bokowicze (obecne Bukowice) należała do kniazia Wasila Połubowicza-Połubińskiego, mówiło się o rozległych terenach łowieckich zwanych „łowiszczami”.

Jako osada graniczna Bukowice przeżywały wzloty i upadki, będąc świadkiem napaści Jaćwingów na Litwinów i na odwrót. Krzyżackich krwawych chrztów mieszkańców okolicznych ziem. Swarów Polan z Rusinami, Litwinami, czy Jaćwingów z Polanami. Po napaściach wieś podnosiła się, aby po następnym zakręcie historii płonąć ponownie od żagwi wojennych rozpalanych ludzkimi pragnieniami hegemonii, nienawiści i pseudokrucjat.

Ze względu na wyznanie mieszkańcy Leśnej byli rzymskokatolikami przynależnymi do parafii sarnackiej, której siedzibą były Sarnaki, a Bukowic - grekokatolikami należącymi do parafii

unickiej pod wezwaniem Św. Trójcy mającej swą siedzibę właśnie w Bukowicach. W latach późniejszych wszyscy mieszkańcy Bukowic przeszli na katolicyzm.

We wczesne przedwiosenne poranki podpatrywałem stada żurawi tańczących godowe tańce w podnoszącej się mgłę, pośród ogrodów podchodzących do pobliskich łągów porośniętych kępami olch i wierzb chylących się nad leniwym nurtem rzeki. Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, serce nieomal wyskoczyło mi z przerażenia, że to duchy, przyszły po mnie. Jednak uspokoiłem się, było ich za dużo i były kolorowe. I wtedy poczułem czyjeś dotknięcie w ramię. Po raz drugi omal nie zemdlałem ze strachu. Usłyszałem: - Ciii... - I zobaczyłem palec na ustach ojca. Powoli zbliżył się do sterty kamieni leżących nieopodal. Usiadł na nich i gestem przywołał mnie do siebie. Przyluliłem się do niego. Oglądaliśmy ten spektakl przez kilkanaście minut. Potem odeszliśmy za narożnik obory.

- Coraz rzadziej przylatują. Mieliliśmy szczęście. Sąsiad zasiał jarą pszenicę. Muszę mu powiedzieć, żeby trochę dosiał, bo niewiele zbierze.

W sierpniowe dni zamiast zbierać polne, dziko rosące pieczarki, obserwowałem spiralne kręgi setek szybujących bocianów, przysłuchiwałem się obradom bocianich sejmików zbierających się setkami na nosowskich łągach, aby wybrać przewodnika, który pewnego przedjesiennego dnia o świcie albo późnym popołudniem wzniesie się nad stadem i zawoła je do liczącego wiele tysięcy kilometrów lotu. Odpowie mu klekot setek dziobów i po chwili potężna biała chmura wzbije się w niebo, aby zatoczyć parę pożegnalnych kręgów i za kilkanaście minut zniknąć za horyzontem. Poprowadzi je do krainy przetrwania, w której nie ma siarczystych mrozów i śnieżnych, zimowych zamieci okrywających wielkimi pierzynami zasp śpiące uroczyńska i stężale pod taflami lodu mokradła.



Ewa Moskalik

List do Reymonta

Łódź, dnia 10 stycznia 1925 roku

Szanowny Panie!

Długo wahałam się, czy do Pana napisać. Może dziwi Pana list od nieznanym kobiecie, a może dostaje ich Pan wiele z prośbą o wsparcie, od kiedy został Pan zamożnym i znanym powszechnie pisarzem. Ale proszę się nie obawiać, ten list innej jest natury i o jedno tylko proszę – by Szanowny Pan przeczytał go do ostatniej linijki, choćby to, co piszę, wydawało się Panu absurdalne – zaręczam, że wszystko jest prawdą.

Mój list ma związek z dziełem Pana życia, które przyniosło Panu uznanie w kraju i poza jego granicami, i za które niedawno nagrodzono Pana najwyższą nagrodą literacką – Nagrodą Nobla. W „Chłopach”, bo o tej powieści mówię, powołał Pan do życia całą wieś – z jej mieszkańcami, chłopskimi obejściami, inwentarzem, polami, łąkami, lasem. Każdego wyposażył Pan inaczej, jednych czyniąc bogatymi, innych parobkami, jednych obdarzając urodą i siłą, innym skąpiąc takich dobrodziejstw, ale przede wszystkim nadał Pan każdemu odmienną osobowość, łącząc w różnorodne, żywe, barwne kompozycje typowe cechy charakteru rodzaju ludzkiego. Powstał bogaty zbiór postaci – przystający do każdego stanu. I chyba tylko jednej chłopskiej postaci nie dał Pan tego poczucia świętego związku z ziemią, zapалу do pracy na niej, radości, gdy z początku czarna, powoli zazielenia się, wyprowadza ze swego wnętrza pędy, kłosa, liście, wreszcie obficie plonuje. Jednej Jagnie poskąpił Pan owej pierwotnej żądzy ziemi, dając w zamian ogromną żądzę miłości, której pozostali nie mogli przecież ani zrozumieć, ani, tym bardziej, wybaczyć. Ukształtował Pan kobietę piękną, wrażliwą, wzbudzającą pożądanie, stworzoną do miłości i bezbronną wobec miłości. I zgotował jej Pan okrutny los – niespełnione uczucia, stary mąż, a w końcu nienawiść całej wsi, pobicie, pohańbienie. Czy po czymś takim miała pozostać we wsi, żyć pośród swoich oprawców i pośród tych, którzy ją opuścili i zdradzili? Czy może powinna zostawić wspólnotę, od której, co prawda, różniła się, ale która była przez nią jakoś rozpoznana i przeniesić się z Lipiec do miasta? Czy myślał Pan kiedy o tym? Z pewnością nie. Ale nie winię Pana za to. Przecież każdy pisarz, gdy ukończy powieść, gdy postawi ostatnią kropkę w ostatniej linijce tekstu, uważa rzecz za skończoną, oczywiście od strony pisarskiej. A jeśli książka odniesie sukces – on zbiera laury, gratulacje, rośnie jego sława, cieszy się szacunkiem i poważaniem; żyje tak dzięki stworzonym przez siebie postaciom, nie troszcząc się o ich dalszy los. Pan też opuścił mieszkańców Lipiec. Bohaterowie opowieści, prowadzeni po sznurku zapisywanych przez Pana atramentem linijek, przyjmowali bez protestu swój los, jakby ci prości przecież ludzie, znali tajemną, potężną moc słowa i uznawali jego władzę nad sobą. Zostawieni nagle sami sobie, musieli w jednej chwili nauczyć się myśleć, kreować siebie, podejmować decyzje. Czy cechy jakie im Pan przypisał pozostały niezmiennie? Czy może wilk zmienił się w owcę lub odwrotnie? Czy kiedyś się tego dowiemy? Na te, wydawać by

się mogło, dziwaczne pytania mogą w części odpowiedzieć – jestem bowiem dalszym ciągiem historii przez Pana wywołanej, Pan jest... moim dziadkiem – nie po mieczu, czy kądzieli lecz „po piórze”.

Tak, jestem córką Jagny! I chcę, by poznał Pan jej dalsze losy. Co się więc wydarzyło? Jakim nurtem popłynęło jej życie? No cóż, można powiedzieć, że los uśmiechnął się do niej. Jest w tym i Pańska zasługa. Na szczęście dał Pan Jagusi zmysł artystyczny, poczucie piękna, zdolności plastyczne. Tak, tak – to było już widać, gdy w Lipcach wyczarowywała precyzyjne świąteczne ozdoby. Ale do rzeczy. Jagna wyzdrowiała (może pomogła woda zakonnica z Przyrowia?) i pojechała do miasta. Rzucona na głęboką wodę, okazała się bardzo pracowita, zaradna i pragmatyczna. W mieście znalazła zajęcie w ochronie dla dzieci – pomagała w kuchni za wikt i dach nad głową. Do sierocińca kilka razy w miesiącu przychodził doktor, społecznik, który leczył darmo biedotę. Znalazł on inną pracę dla mamy – pozowała jego przyjacielowi, znanemu malarzowi, pozwolił Pan, że nie wyjawię nazwiska. Któregoś dnia zdarzyło się, że malarz ów musiał pilnie opuścić pracownię, ale polecił mamie czekać na siebie. Znudzona, zaczęła szkicować panoramę, jaka rozciągała się z okna na mansardzie. Tak ujawnił się jej talent, taki był początek drogi do kariery.

Jagna związała się z człowiekiem bardzo majątnym i bezgranicznie w niej zakochanym. Nie ukrywam – zapewnił jej dostatnie życie, fundusze na naukę, najpierw od podstaw, później na lekcje malarstwa, zabezpieczył finansowo naszą przyszłość, gdy ja przyszedłam na świat.

A dla mamy całym światem stało się malowanie, zanurzała się bez miary w nostalgiczne pejzaże – błądziła polami, drogą topolową, siadywała nieopodal miedzy w cieniu rozłożystego drzewa.

Mama kiedyś wspomniała, że przyszedł Pan na wystawę jej obrazów i wyjątkowo długo oglądał akwarelę zatytułowaną „Świta”. Jak widać, nie wyjawiała Panu kim jest. A może zapamiętał Pan tę wystawę i impresje pełne smutku, bólu i tęsknoty?

Często pytałam mamę o jej rodzinę, bez skutku. Aż któregoś wieczora wyjęła z biblioteczki książkę i podając mi ją, powiedziała: – Jagna to ja. A ty masz imię po moim literackim ojcu. Wzięłam książkę i spojrzałam na okładkę: Władysław Reymont, „Chłopi”, tom 1. Przeczytałam wszystkie cztery tomy jednym tchem. Pół roku później mama odeszła, okazało się, że była nieuleczalnie chora. Taka jest cała prawda o Jagnie, teraz znamy ją tylko my oboje.

Dziękuję, że przeczytał Pan mój list do końca, życzę Panu zdrowia, by mógł Pan nadal pisać i cieszyć się otrzymaną Nagrodą.

Nie mam nadziei, że zechce mnie Pan poznać, nie podaję więc adresu zwrotnego. Może jednak odpisze Pan na mój list dalszymi dziejami Lipiec? Ciekawi mnie, co słychać u Antków, u Nastusi i Szymka, czy Mateusz się ustatkował? Czuję się teraz taka samotna, Pan to rozumie, pamięta?

Z wyrazami szacunku i podziwu dla Pańskiego talentu,

Władysława Boryna

Jacek Strzelecki – urodził się w 1959 r. w Gnieźnie. Jest absolwentem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Poznaniu, które ukończył z wyróżnieniem w 1978 roku. Następnie studiował na Wydziale Malarstwa w poznańskiej PWSSP. Dyplom otrzymał w pracowni prof. Jana Świtki. Był stypendystą Ministerstwa Kultury i Sztuki w latach 1984–85. Laureat konkursu im. Marii Dokowicz. Dwukrotnie nagradzany w konkursie malarstwa im. Jana Spychalskiego. W 1994 r. objął prowadzenie I Pracowni Rysunku na Wydziale Malarstwa w poznańskiej PWSSP. Obecnie profesor zwyczajny Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Brał udział w kilkudziesięciu wystawach zbiorowych oraz miał szereg wystaw indywidualnych. Jego prace znajdują się w zbiorach państwowych a także w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą m.in w Australii, USA, Szwecji, Holandii, Niemczech, Austrii. W kilku miastach Wielkopolski znajdujemy ołtarze jego autorstwa. Artysta uprawia malarstwo sztalugowe, rysunek i malarstwo monumentalne. W 2017 roku zilustrował tom poezji Kaliny Izabeli Zioly, zatytułowany „Oczy od grzechu ciemne”. Stworzył w tym celu cykl rysunków „Panny z Pio-Clementino”, przedstawiający Apolla i dziewięć muz. Obrazy i rysunki Jacka Strzeleckiego są charakterystyczne, rozpoznawalne. Cechuje je czysta, wyraźna kreska. Artysta chętnie maluje sceny mitologiczne, ich bohaterowie przypominają misternie rzeźbione posagi.

W numerze wykorzystano obrazy Jacka Strzeleckiego – s. 1, 8, 18, 20.

Fotografie:

s. 3 – Sebastian Walczak,

s. 4 – Zbigniew Kresowaty.



Lech Nawrocki

Kłębowski myśli

Można na śmierć zapomnieć o wszystkim, ale nie o śmierci.

Każdy kłamca zna prawdę o sobie.

Małżeństwo to demokracja składająca się z dwóch tyranii.

Niegodziwość ma słabą stronę – jest przewidywalna.

Dobrze milczeć – gorzej przemilczeć.

Paradoks? Prawda nigdy nie jest kłamliwa – kłamstwo zawsze jest prawdziwe.

Ból można wypłakać, płacz można przeboleć.

Nie lekceważ podłości, to wyraz czegoś znacznie gorszego.

Tolerancja nie oznacza tolerowania wszystkiego.

Głupi znajduje tylko głupszych od siebie – mądry przede wszystkim mądrzejszych.

Mądry może czasem zgłupieć, ale głupi raczej nigdy nie zmądrzeje.

W milczeniu jest więcej słów, niż milczenia w mówieniu.

Cierpliwijazdźdaleko – wyrozumiądalej.

Nie ma złych dróg, są tylko złe kierunki.

Lepiej błądzić niż być w błędzie.

Skoro życie na Ziemi nie może być Rajem, nie musi być też Piekłem.

To nic dziwnego, kiedy ryba rozplywa się w ustach.

Co wspólnego ma satyra ze satyrem? Czasem bywa też obleśna.

Może zamiast szukać szczęścia, lepiej zmienić jego definicję?

Władza wychodzi z ludu – błąd, powinna tam zostać.

Lepiej cienko prząść niż grubo się pomylić.

Im mniej rozumiem, tym bardziej staram się być wyrozumiąły.